

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Cyprian Norwid**

**Białe kwiaty**

Opracowanie tekstu  
i studium wstępne  
Juliusz W. Gomulicki

ower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Patos i milczenie

### I

Słowo jest ogień – milczenie jest lawa.

Tak się oryginalnie złożyło, że najwcześniejszy znany dzisiaj wiersz Norwida, sonet *Samotność*, zaczyna się od słowa „Cisza”, a więc od tego słowa-klucza, które bezustannie występowało – czy raczej: pulsowało – w jego twórczości poetyckiej, trafiając w rezultacie i do jego estetyki, i do jego poglądów filozoficznych.

Czymkolwiek jednak była dla Norwida *c i s z a* – jako tło, nastrój czy sytuacja – ważniejszym od niej był dla poety jej najistotniejszy bodaj składnik, a mianowicie *m i l c z e n i e*, którego pochwałę zawarł w drugiej zwrotce tego samego młodzieńczego sonetu:

Jak niewolnik, co ciężkie siłą więzy skruszy  
I zgasłe życie w sercu na nowo poczuje,  
Tak ja, na chwilę zwolnion z natrętnych katuszy,  
Wdzięk i urok milczenia czuję i pojmuję.

I 3<sup>1</sup>

Ktoś, kto czyta wiersze ahistorycznie, wrywając je z ich naturalnego kontekstu, potraktowałby może to wyznanie jako jeszcze jeden banalny przykład romantycznej konwencji poetyckiej, ten jednak, kto uważnie przyjrzy się jego dacie (1840) i miejscu publikacji (Warszawa), powinien zrozumieć, że ma tu do czynienia z przejmującym swoją szczerością jękiem czy też westchnieniem więziennym, Warszawa paskiewiczowska była bowiem prawdziwym więzieniem dla każdego poety, który czuł i myślał patriotycznie i który uczucia swoje, pragnienia i marzenia pragnął przekazać swoim ówczesnym czytelnikom.

Takim poetą był właśnie młody Norwid, o którym jeden z jego warszawskich przyjaciół (Albert Potocki) wyraził się nawet, że „zmarła czy wskrzeszona Polska go obwieści – poetą swych wnętrzości... synem swych boleści”, będąc zaś takim poetą był już przez to samo skazany w owych pierwszych, młodzieńczych latach swojej twórczości na tragiczne, i to potrójne przy tym... milczenie.

Milczenie zaś, wyjaśnijmy tu od razu, występowało wtedy w trojkiej co najmniej postaci, w pewnych przypadkach było bowiem *p r z y m u s e m*, w innych *o b o w i ą z k i e m*, a w jeszcze innych świadomie wybraną *p o s t a w ą* przyjmowaną wobec niektórych objawów ówczesnego życia politycznego i społecznego, wszystkie te zaś. postacie były uwarunkowane z kolei przez straszną niewolę, w jakiej znajdowało się wówczas całe społeczeństwo Królestwa Polskiego, duszące się pod jarzmem znieprawionego caratu.

„Katusze” młodego sonecisty były więc katuszami niewoli, wymieniony zaś przez niego, i to w druku, „niewolnik” – co było, trzeba podkreślić, niebywałym niedopatrzaniem stołecznej

---

<sup>1</sup> Wszystkie podwójne liczby (rzymska i arabska) wprowadzone bezpośrednio do tekstu (w nawiasach) albo umieszczone pod cytatami poetyckimi (bez nawiasów) służą lokalizacji poszczególnych wypowiedzi Norwida w jego *Pismach wszystkich*, t. I–X, Warszawa 1971–1973.

cenzury politycznej, nadzwyczaj pilnie śledzącej i starannie trzebiącej wszystkie tego rodzaju wyrażenia – w zupełnie naturalny sposób utożsamiał się w umyśle każdego czytelnika -patrioty bądź to z nim samym, bądź to w ogóle z przeciętnym obywatelem ówczesnego Królestwa, z jednej strony skazanym na milczenie przez „opiekuńczy rząd”, zakazujący mówić, pisać, a nawet myśleć o wolności, niepodległości i wszystkich najpiękniejszych tradycjach narodowych, z drugiej zaś dobrowolnie uciekającym „w milczenie”, nie mógł bowiem mówić tego, co pragnął, nie chciał zaś mówić tego, czego się od niego spodziewano i wymagano.

Obok milczenia-przymusu rosło i rozwijało się milczenie-obowiązek, milczenie wielkiej wagi nieraz, a czasem i wielkiego tragizmu, praktykowano je bowiem w obliczu perfidnych inkwizytorów politycznych, usiłujących często złamać je w śledztwie przy pomocy okrutnych tortur, którym poddawano milczących. Najpiękniejszym a zarazem najstraszniejszym przykładem owego drugiego milczenia było zachowanie się Karola Levittoux, bliskiego druha Norwidowego, który wolał spalić się żywcem w swojej samotnej celi więziennej aniżeli złać podczas wielokrotnie powtarzanych tortur i wydać w następstwie nazwiska przyjaciół oraz towarzyszy spiskowych.<sup>2</sup>

Trzecia postać milczenia najwymowniej została ukazana przez samego Norwida w jego wierszu *Wieczór w pustkach* (1840), gdzie zaliczył je zresztą do c i s z y.

Była to owa przejmująca, bolesna cisza milczącego tłumu:

Która wtedy się zjawia, kiedy męczennika  
Na śmierć wloką – ta Cisza zbrodniczo-niewinna  
Po skroniach widzów łaskoce lub wnika  
Na dno serc – razem ze krwią wybiega do góry,  
Gra kroplami po żyłach i w tak silne chóry  
Splata muzykę życia – że na dźwięk ostatni,  
Pełny, krzepki, przeciągły, serca się nawłóczą,  
Jak paciorki różańca – a ludzie się uczą  
Konać po chrześcijańsku

. . . . .  
. . . . .

I 29-30

Takie właśnie brzemienne modlitwami i klątwami milczenie panowało w Warszawie w listopadzie 1833 r., podczas publicznej egzekucji, której ofiarą był Artur Zawisza, i o takim samym milczeniu donosili do Warszawy świadkowie męczeńskiej śmierci Szymona Konarskiego, powieszono go w Wilnie w r. 1839, w obliczu parotysięcznego tłumu rodaków.

Opis Norwida był oczywiście umyślnie zaciemniony (anonimowy „męczennik”) i w jakiś sposób zaszyfrowany (dość chyba zwrócić uwagę na brak rymu do „ostatni”, na zerwany wers oraz na zagadkową linię kropek), co z jednej strony było naturalnym pokwitowaniem owego przymusowego milczenia, z drugiej jednak nadzwyczaj ważnym świadectwem swoistej walki prowadzonej z takim milczeniem, treści przemilczane zostały bowiem, wbrew wyraźnym zakazom władzy, zakomunikowane czytelnikom, ale zakomunikowane w sposób nadzwyczaj kunsztowny, aluzyjny, za pośrednictwem nader wymownych drobiazgów: napomknięć, niedopowiedzeń oraz opuszczeń.

Norwid doskonale zdawał sobie sprawę z ogromnej roli odgrywanej przez takie niepozorne drobiazgi – „im bywa więcej uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej – pisał na ten temat po latach – tym głębszej, donośniejszej i bardziej piorunnej siły nabierają

---

<sup>2</sup> Relacja Norwida o zgonie Levittoux znajduje się w liście Zygmunta Krasińskiego z 27 stycznia 1848 r.: *Listy do Delfiny Potockiej. 1846–1848*. Przeprosił do druku Adam Żółtowski, Poznań 1938, s. 523–24.

przemilczenia, niedopowiedzenia, mgnienia powieki, chrząknięcia i kichnięcia” (VI 148) – równocześnie jednak bolał nad połączonym z nimi swoistym okaleczeniem i zwichrowaniem swojej poezji, nie zawsze wyraźnie przekazującej zaszyfrowane treści i dlatego nie zawsze rozumiałej.

Bo, choć myśli, jak najęte draby,  
Klną dziko i wołają, by im zapłaciły  
Słowa moje, lecz słowa?... blaszki pozłacane,  
Mdłym dźwiękiem gadające! grosze połamane,  
Fałszywe!... ha! ubóstwo, nędza to szalona,  
Gdy nawet słów brakuje, gdy otumaniona  
Dusza, co począć, nie wie – albo raczej może  
Wie wszystko...

I 27

Jedyną radą na tę bardzo specyficzną (choć względna) niezrozumiałość był apel do czytelników o pewien kredyt moralny dla autora oraz o serdeczniejsze a uważniejsze odczytywanie takich kunsztownie preparowanych utworów, byłoby bowiem – wywodził Norwid – „błędem najszkaradniejszym, gdy nie wiemy (a prawie występkiem, gdy wiemy), czytać utwory narodu nieszczęśliwego tymi oczami, którymi się utwory poetów tryumfujących czytają” (VI 431).

Kto więc myślą pisarza chce się uradować,  
Ten niechaj ją przytuli do łona swej duszy,  
I niechaj ją obejmie uczuciem – a wzruszy  
Martwe znaki – że wreszcie nie zechcą tamować  
Głosu swego...

I 26

W rezultacie – jak to łatwo można było zresztą przewidzieć – warszawscy czytelnicy Norwida podzielili się w naturalny sposób na dwie zasadnicze kategorie: jedni mianowicie, którzy nie widzieli, czy też nie chcieli widzieć, drugiego dna jego wierszy, narzekali na ich „niezrozumiałość”, „przesadę” i „niesforność”<sup>3</sup>, drudzy z kolei, umiający dopasować do nich właściwy klucz, wysławiali je jako najwyższe osiągnięcie poezji krajowej, samego zaś poetę wynosili ponad wszystkich jego rówieśników:

Skrzydłem Miłości w stare uderzyłeś dzieje,  
A na skrzydle się Wiary szmaragdą Nadzieje.  
Ptaku Ewangelisty, gdy ci nucić przydzie,  
Gdy pierś twoja nabrzmieje Ewangelii pieniem,  
Ty nas poisz nadzieją, pamiątką, cierpieniem,  
Orle Norwidzie.<sup>4</sup>

Tych drugich było na szczęście więcej, ich zaś swoistą „domyślność” w interesujący sposób scharakteryzował później jeden z warszawskich kolegów Norwida, piszący również pod

---

<sup>3</sup> Niezrozumiałość i przesadę zarzucał Norwidowi Seweryn Filleborn (1841), niesforność – Jan Sowiński (1843).

<sup>4</sup> Antoni Czajkowski: *Do Norwida*, „Słowo” (Petersburg), dod. lit., z. 1, s. 144 nn. (anonimowy pierwodruk; „Tygodnik Literacki” 1843, nr 4). Wiersz z roku 1842.

cenzurą, zmuszony więc do bardzo oględnego, i także zaszyfrowanego, omawiania owych osobliwości.

„A jednak taka tajemniczość wyrażen – pisał on, mając na myśli szyfr poetycki Norwida – takie «w liść aloesu obwijanie serca» (...), słowem, taki mistycyzm formy (...) otwierał dla umysłów lękliwych, ostrożnych [tj. uważnych] i podejrzliwych [tj. domyślnych] jakiś skrawek o barwie sympatycznej dla nich, którą już tylko w pamięci chować, a we wspomnieniu widywać – mogli...”<sup>5</sup>

Istnienie takich właśnie domyślnych czytelników przekonywało Norwida o słuszności jego postępowania i o celowości podejmowanych wysiłków, a równocześnie rekompensowało złośliwości pewnych krytyków, których uwag nie słuchał, wiedział bowiem, że żyje w czasie, kiedy – jak sam się wyraził – „otwierać ust nie można, a milczeć się nie godzi, i można tylko sykać z bólu i być przeto uważanym za sykającego węża, chociaż się jest syczącym z bólu niewolnikiem” (VI 448). Mowa w tych słowach o przymusie milczenia, ale mowa również o walce z takim milczeniem, walce trudnej i przykrej, a przy tym narażającej poetę na niezrozumienie przez niektórych jego czytelników.

Tym więcej szanował z tego powodu owych czytelników „domyślnych” i tym bardziej zaczął cenić nie tylko wszystkie stosowane przez siebie niedopowiedzenia, przemilczenia i napomknięcia, ale również te wszystkie najprostsze nawet elementy swego gospodarstwa poetyckiego, za których pośrednictwem mógł wypowiadać się w swoich *d r u k o w a n y c h i c e n z u r o w a n y c h* wierszach na temat groźnej potęgi caratu („burza”, „szalona zawieja”, „zawierucha”), martyrologii młodzieży warszawskiej („skręcone kwiatki”, „splątane powoje”), zameczeń politycznych („ostatnią czkawką skrzypiące gardziele”), bohaterskich konspiratorów (młodzieniec walczący z „burzą”), bolejących patriotów („sieroty”, „strapieni bracia”), Cytadeli („mogiła”, „krata”), szpiclów i demagogów politycznych („dziwaczny pielgrzym”, „wąż rzeźbiony”), poezji zaprzęgniętej w służbę narodu („pióro, którym ospę z krwią mieszają młodą”), nadziei związanych z przyszłością („księżyc”) czy też w ogóle atmosfery panującej w całym Królestwie („noc”).<sup>6</sup>

Gdy zaś zarówno milczenie nakazane przez *o b o w i ą z e k* patriotyczny (np. męczeńskie milczenie Karola Levittoux), jak i milczenie podyktowane przez najwyższy *s z a c u n e k* i stanowiące swoisty *h o ł d* dla wielkości (np. milczenie tłumu obserwującego egzekucję dokonywaną na bohaterze narodowym), odznaczały się jakąś swoistą wzniosłością i solennością, i posiadały własny przejmujący do głębi *p a t o s*, to taki oryginalny patos wyzierał w pewnej mierze i z tych wszystkich napomknięć, niedopowiedzeń oraz różnych drobnych rekwizytów poetyckich – łez, kwiatów, cierni, powojów, gałęzi, kości, krat, mogił i proporców – którymi Norwid posługiwał się walcząc przeciw milczeniu nakazanemu przez despotyzm obcego rządu i którymi sygnalizował albo zastępował miejsca przemilczane, tworząc w ten sposób jakby jakąś nową „milczącą mowę”, składającą się z „hieroglifów niemych cierpień” i przemawiającą „niemym śpiewem” do wrażliwszych i bardziej pojętnych czytelników.<sup>7</sup>

---

<sup>5</sup> Aleksander Półkoźic (Aleksander Niewiarowski): *Cyprian Norwid. Sylwetka pośmiertna*, „Wiek” 1884, nr 27 (dod.). „Taka forma spowijająca grubo myśli weszła była nawet w utwory innych ówczesnych poetów – pisze ostrożnie Niewiarowski (...) – była ona następstwem *p e w n y c h w a r u n k ó w ó w c z e s n y c h*...” (podkreśl. JWG). – Zob. J. W. Gomułicki: *Literatura spiskująca w Warszawie paskiewiczowskiej*, „Rocznik Warszawski”, VI (1966), s. 258–84.

<sup>6</sup> Najważniejsze elementy warszawskiego szyfru Norwida starałem się rozwiązać w komentarzach do jego poszczególnych wierszy krajowych. Zob. mój *Dodatek krytyczny do „Wierszy” C. Norwida (Dzieła zebrane, t. II)*, Warszawa 1966, s. 282–324.

<sup>7</sup> Taką tezę o kryptopolitycznym charakterze warszawskiej poezji Norwida postawiłem w referacie *O dwóch współczesnościach Norwida*, wygłoszonym w maju 1958 r. na Konferencji Norwidowskiej w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie. Zob. sprawozdania W. Billipa, „Pamiętnik Literacki”, XLIX, 1958, z. 3/4, s. 636–37, oraz W. Górnego, „Tygodnik Powszechny” 1958, nr 24. – Tezie tej nadałem kształt plastyczny na

Stąd też w następstwie powolne, ale stale postępujące formowanie się jego teorii o nowym rodzaju patosu: patosu rzeczy i spraw drobnych, prostych, zwykłych, powszednich, a nawet lichych, które – włączone w odpowiedni układ i zespolone, choćby tylko jako ich znak, z rzeczami i sprawami wyższego rzędu – zyskiwały dzięki temu swoisty awans, wynoszący je ponad zajmowane dotychczas stanowisko i obdarowujący nową rangą życiową.

...bo żywot ludzki, choć na pozór ginie,  
Jednakże treścią bytu najlichszego człeka  
W żyły ogólnej myśli przelewa się, płynie,  
Kroplę po kropli sączy – kroplą w kroplę wcieka  
I każde głupstwo działa, każda mądrość działa,  
Jakby na jednej strunie odegrane pieśni...

I 42

Stąd również coraz mocniejsze przywiązanie się poety nie tylko do patetycznego milczenia, pojętego jako najbardziej dorównana przedmiotowi reakcja na pewne sprawy, fakty i zachowania, ale również – zupełnie niezależnie od konkretnej potrzeby – do samego mechanizmu przemilczania, potraktowanego z czasem jako oryginalny i wygodny środek ekspresji poetyckiej, a także do tego, co on sam nazywał swoim „fragmentowym” sposobem wyrażania się (VIII 26), oraz do owego niewyczerpanego zasobu znaków, metafor, symboli, powiedzeń i różnego rodzaju rekwizytów, którymi poprzednio posługiwał się do zaszyfrowywania treści utajonych przed cenzurą, a które później zaczął wykorzystywać do unoszenia pewnych idei oraz do kondensowania niektórych wywodów i opisów.<sup>8</sup>

W rezultacie to wszystko, co początkowo było w jego utworach tragicznych stygmatem niewoli, a może nawet do pewnego stopnia kalectwem, przekształciło się z biegiem czasu w najistotniejsze bodaj elementy jego rzemiosła poetyckiego, aby w końcu – już w drugiej połowie życia poety – posłużyć mu do zbudowania oryginalnej teorii filozoficznej, po sokratejsku wyprowadzonej z osobistego a bolesnego doświadczenia.

„Nie mogę tu albowiem zapomnieć wzoru Sokratesa – pisał Norwid w r. 1849, w pełni świadomy tego dalekiego, ale interesującego powinowactwa (III 366) – który obrażenie od kajdan wytłoczone na nodze uważał za treść i za przykład popierający rzecz bólu i stosunku bólu do żywota, panując wyraźnie tym sposobem nad fatalnością położenia, owszem, rosnąc w wolności nie do pokonania pewnej siebie.”

---

Warszawskiej Wystawie Norwida, urządzonej we wrześniu 1958 r. w Muzeum im. A. Mickiewicza w Warszawie. Zob. W. Jekieli, „Przegląd Humanistyczny” 1958, nr 5, s. 204–207.

<sup>8</sup> Por. J. W. Gomułicki: *Zjawisko: Norwid*, [w:] C. Norwid: *Pisma wybrane*, t. I, Warszawa 1968, s. 12–14.



## II

Ostatnie słowo, mój Lilijanie,  
Choćby mi głosu już nie starczyło,  
Pokażę tobie palcem na ścianie,  
I nie zrozumiesz, lecz powiesz: „B y ł o”.

Na krótko przed wyjazdem Norwida za granicę, bo jeszcze w kwietniu 1842 r., w popularnym czasopiśmie francuskim „Revue de Paris” ukazało się krótkie opowiadanie poety Augusta Brizeux, stanowiące fragment jego wspomnień z podróży po Włoszech, którą odbył w r. 1832, a zatytułowane *Une Ombre* (Cień).

Otóż zgrabne to i dobrze napisane, chociaż może nazbyt upoetycznione opowiadanie – które Norwid mógł poznać albo jeszcze w Warszawie (gdzie „Revue” miała debit), albo dopiero w Niemczech czy nawet Włoszech (gdzie zawsze pilnie uczęszczał do miejscowych *cabinets de lecture*) – było w pewnej mierze antycypacją kilku trochę późniejszych doświadczeń polskiego poety, a nawet jego dwóch sławnych i całkowicie oryginalnych tekstów pamiętnikarsko-nowelistycznych (*Menego* i *Czarne kwiaty*), zawierało bowiem nie tylko wierną a barwną relację autora o jego dwóch przypadkowych spotkaniach, w Neapolu i w Wenecji, z nieznanym mu osobiście Walterem Scottem, wówczas już starcem, ledwo wlokącym się o kiju po posadzce Pałacu Dożów, ale również interesujące wyznanie, że już w Neapolu przeczuł jak gdyby bliski zgon angielskiego pisarza, łącząc jego osobę ze znanym przysłowiem „*Vedere Napoli e poi mori*” („Zobaczyć Neapol, a później umrzeć”), i że to samo przeczucie, urzeczywistnione już po paru miesiącach, nawiedziło go później w Wenecji.

Nie wiadomo co prawda, czy Norwid pamiętał o tym opowiadaniu w Wenecji, gdzie znalazł się w niecały rok po jego ogłoszeniu drukiem, jeżeli pamiętał jednak, to pewnie z zainteresowaniem porównywał swoje wrażenia z wrażeniami francuskiego poety, obydwaj bowiem błędzili tym samym ulubionym szlakiem, który zawiódł ich, wzdłuż Riva degli Schiavoni, na Molo, a stamtąd na Piazzetta, pod sam zabytkowy Pałac Dożów.

Ani tego pospolitego zresztą itinerarium, ani nawet wypowiedzianych przez obu poetów, a bardzo skądinąd podobnych refleksyj estetycznych, artystycznych i politycznych nie warto byłoby tu przypominać, gdyby nie ta oryginalna okoliczność, że obydwaj zetknęli się w Wenecji z problemem śmierci, i to śmierci w jakiś sposób *z a p o w i e d z i a n e j*, a przy tym śmierci starego i zmęczonego życia artysty.

W przypadku Norwida artystą tym był malarz Tytus Byczkowski (ok. 1790–1843), rodem z Mińska (może znający więc ojca poety, który był w Mińsku sędzią), wychowanek Rustema w Wilnie, a później Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, do której zapisał się ok. 1833 r., już jako siwiejący, blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, przebywający od kilku lat za granicą. „Wzór cierpliwości, zaparcia się, pokory *w y k o n y w a n e j* sprawiedliwiej aniżeli *p o j ę t e j*”, był jednak Byczkowski artystą miernym („z niewielkim geniuszem” – wyrozumiale charakteryzuje go Norwid), wiecznie zapatrzonym w cudze wzory i prawie całkowicie pozbawionym jakichkolwiek cech oryginalnych.

„Byczkowski był człowiekiem prawym – pisał o nim Edward Rastawiecki – zawsze wesółym, nawet w biedzie, a dla pięknych przymiotów powszechnie lubionym.”<sup>9</sup>

Ta prawość właśnie i te „piękne przymioty” były może powodem, że do starego malarza zbliżył się i dwudziestojednoletni zaledwie Norwid, który poznał go prawdopodobnie jeszcze

---

<sup>9</sup> E. Rastawiecki: *Słownik malarzów polskich*, t. III, Warszawa 1857, s. v.

latem 1842 r., zaraz po swoim przybyciu do Drezna, skąd Byczkowski wyjechał wkrótce potem, jak się wydaje, do Wenecji.

Spotkanie weneckie było więc zapewne spotkaniem drugim, tym miłszym dla obu artystów, że obydwaj byli w owym nadmorskim mieście świeżymi przybyszami (choć Byczkowski mieszkał w nim już co najmniej kilka miesięcy), i że obydwaj nie stracili jeszcze ochoty ani do wspólnych wędrówek po jego ulicach, ani też do długich dyskusyj na temat znajdujących się tutaj skarbów malarstwa, rzeźby i architektury.

Ostatnią taką wędrówkę, którą odbyli wczesną wiosną 1843 r., na dwa dni zaledwie przed tragicznym zgonem Byczkowskiego, opisał Norwid po kilku latach w swoim oryginalnym wspomnieniu o starszym koledze, jego opis można jednak wzbogacić jeszcze o parę drobnych szczegółów.

Zaczęła się ta wędrówka, już o zmierzchu, na Riva degli Schiavoni, zapewne w pobliżu zamieszkiwanego przez Norwida hotelu, skąd obaj artyści posuwali się w swoim spacerze na zachód, mając po lewej ręce szeroko rozlane wody Kanału Św. Marka, pełne łodzi, statków i barek przypluwających tutaj z Dalmacji, po prawej długi szereg pałaców i budynków hotelowych, spoza których wyglądały kościoły, w głębi zaś przed sobą widną z daleka wysmukłą dzwonnice Św. Marka.

Byczkowski, „zawsze wesoły”, tym razem był jednak przygnębiony (Norwid, pisząc później o jego zachowaniu, dwukrotnie użył przysłowka „smutno”), co nie powinno dziwić, chorował bowiem wtedy na oczy (a dla malarza jest to podwójnie bolesnym cierpieniem), nie był pewien swojej przyszłości (zależał bowiem w dużej mierze od widzimisię zamożnego mecenasa), paromiesięczne obcowanie zaś z arcydziełami malarstwa weneckiego wywołało w nim duży niepokój, nie mógł ich bowiem w pełni zrozumieć, ale czuł niewyraźnie, że jego własne malarstwo nie wytrzymuje z nimi porównania i świadczy jedynie o jakimś sztywnym i oderwanym od życia akademizmie. Dzisiaj wiemy, że już wtedy nosił w sobie – od jak dawna? – bakcyl samobójstwa, rozwijający się prawią z każdą godziną i zdradzający swoje istnienie mimo wiedzy i woli zarażonego.

Rozprawiając stale o zbiorach artystycznych znajdujących się w Pałacu Dożów, w szczególności zaś o autentyczności przypisywanej Fidiaszowi<sup>10</sup> rzeźby greckiej przedstawiającej porwanie Ganimeda, artyści przeszli kolejno dwa mosty przerzucone nad zielonymi wodami kanałów: najpierw Ponte del Vin, później zaś Ponte della Paglia, skąd rzuciwszy okiem w prawo zobaczyli słynny Most Westchnień, i zatrzymali się na chwilę na Molo, pod samym Pałacem Dożów. Byczkowski zwrócił wtedy uwagę młodszego towarzysza na wyjątkową pomysłowość kapitelów wieńczących kolumny, które otaczają cały pałac długą i urozmaiconą galerią, po czym bardzo szczegółowo obejrzel każdy taki kapitel, poczynawszy od naroża wychodzącego na Ponte della Paglia, gdzie umieszczono grupę przedstawiającą Sema i Jafeta zakrywających nagość Noego, aż do naroża wychodzącego na Molo i na Piazzetta, ozdobionego z kolei postaciami Adama i Ewy, rozdzielonych drzewem, dokoła którego obwijał się wąż-kusiciel.

Wyszedszy na Piazzetta, przestali już bodaj oglądać owe kapitele, ale minęli Pałac oraz położony naprzeciw niego zabytkowy budynek Mennicy i skierowali się na plac Św. Marka, pod arkady Prokuracji, gdzie mieściła się między innymi ulubiona kawiarnia Byczkowskiego.

Tu wreszcie zakończyła się ich rozmowa i tu po pewnym czasie rozstali się, aby udać się na spoczynek, to krótkie rozstanie zaś stało się zapowiedzią dłuższego, już bowiem na drugi dzień wieczorem przyniesiono Norwidowi list od starego malarza. Byczkowski zawiadamił w nim Norwida o swoim bliskim wyjeździe i zapraszał go następnego ranka na Lido, którego jeszcze nie widział, a które pragnął zwiedzić przed ostatecznym opuszczeniem Wenecji.

---

<sup>10</sup> Autorem tej atrybucji był Canova.

I ów list, pełen jakichś smutnych niedomówień, i rozmowa z poprzedniego dnia, wypunktowana kilkoma niepokojącymi akcentami, i melancholijny nastrój Byczkowskiego, spowodowały w rezultacie, że poeta pojechał następnego ranka na Lido. Nie starego malarza zastał tam zresztą, ale... kupkę jego bielizny, nad którą stał gondolier Byczkowskiego w towarzystwie policjanta oraz dwóch angielskich turystek.

„Byczkowski, zapłaciwszy gondoliera – zanotował po latach Norwid – powiedział mu, że użyć chce kąpiel... a l e z a g ł ę b o k o w f a l e z a s z e d ł.”

Te skąpe, lakoniczne, umyślnie bezbarwne słowa kryły prawdę o wiele tragiczniejszą jeszcze. I okropniejszą.

Oto Byczkowski, zabrawszy z sobą z hotelu brzytwę, wybrał się na Lido w wyraźnym zamiarze samobójczym.

Wylądowawszy na wysepce, minął dawny cmentarz żydowski i doszedł do samego brzegu morskiego, gdzie zostawił zwierzchnie odzienie, po czym zapuścił się trochę głębiej w morze, poderznął sobie gardło, rzucił się w wodę i utonął.

„Zwłoki jego – notuje sumienny Rastawiecki (*op. cit.*) – w dni kilka wyrzuciła woda w Lido, od ryb morskich pogryzione; pogrzebiony tamże na piasku.”

Pierwszą reakcją Norwida na samobójstwo starszego kolegi-artysty musiał być zapewne jakiś mocny nerwowy wstrząs. Następną – chyba poważna filozoficzna refleksja.

Cóż bowiem w tym całym tragicznym wydarzeniu najwięcej mogło uderzyć młodego poetę, wychowanego na literaturze romantycznej i od najmłodszych lat rozczytującego się w pismach Mochnackiego, który, natchniony z kolei przez niemieckich filozofów przyrody, propagował wiarę w tajemną stronę zjawisk naturalnych, w powinowactwa i związki łączące świat ożywiony z nieożywionym oraz w cudowne analogie występujące w życiu człowieka i w świecie otaczającym.<sup>11</sup>

Oto dojrzał w nim chyba zadziwiająca zgodność z pewnymi przypomnieniami, zamierzeniami i refleksjami zmarłego artysty objawionymi na dwa dni przed jego zgonem, a także z jego ówczesnym zachowaniem, które teraz – *ex post* – można było zinterpretować jako wyrażną (cudowną) zapowiedź bliskiego zgonu; a nawet formy tego zgonu, tak zasadniczo różniące się od tego wszystkiego, czego można się było spodziewać.

Powróćmy jednak do ostatniego spotkania artystów i uporządkujmy pewne fakty, tu jeszcze nie przytoczone i nie skomentowane, a prawie samorzutnie układające się w oryginalny dramat życiowy.

Dramat ten, przypominający po trosze swoim skomplikowanym, ale skądinąd wyraźnym rysunkiem zarówno oglądane przez obu artystów kapitele Pałacu Dożów, jak i owe wspomniane przez nich w rozmowie wyjątkowo proste plany starożytnych budowli, zaczął się uwydatniać począwszy chyba od uwagi Norwida, że nic w świecie nie zginie, „co jest prawdziwie piękne”. Owa uwaga zaś, podjęta zaraz przez Byczkowskiego, musiała go podświadomie zabołć, on sam bowiem nie był chyba całkowicie przekonany, że pozostawi po sobie coś, co nigdy nie zginie,

Miał zaś pozostawić w swojej spuściźnie, jak to za komunikował Norwidowi, jeden jeszcze, bliski już zakończenia obrazek, przedstawiający rybaka, o porze wieczornej, który przez cały dzień zapuszczając sieci ułowił wreszcie tylko jedną rzecz, pustą muszlę, i wypada mu jedynie zebrać z tą muszlą w rękę.

Otóż cały ów obrazek tłumaczył się teraz symbolicznie: pracowity a pechowy „rybak” – to oczywiście sam Byczkowski, „cały dzień” – to jego długie i trudne życie, „wieczór” – to nadchodzący owego życia koniec, „pusta muszla” – to żalostny symbol jego bezkrwistej i pozabawionej duszy twórczości malarskiej, która mogła łatwo zginąć, nie zostawiając po sobie

---

<sup>11</sup> Zob. np. jego wywody w dziełku *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, Warszawa 1830, s. 10–17 i 23.

ani śladu w pamięci przyszłych pokoleń, „zebranie” zaś – to chyba pokorna prośba o ślad w owej pamięci.

Gdy zaś sam Byczkowski, opowiadając o pobycie cara Mikołaja w Monachium (1833) i o przedziwnym sparalelizowaniu się jego postaci z postacią Heroda na malowanym wtedy wielkim fresku kościelnym, a niedawnych porywań dzieci warszawskich z legendarną rzezią niewiniątek, zakończył to opowiadanie refleksją na temat obrazów „o życie zaczepionych”, to refleksję tę można było z kolei potraktować jako jego własny komentarz do *Rybaka z pustą muszlą*, z równą trafnością i wiernością jak i ów fresk kościelny „zaczepionego o życie autora”. Sam ów projektowany obraz byłby wtedy – co ważniejsza – komentarzem autora do jego własnego zmarnowanego życia. Tu zaś trzeba zaznaczyć, że Byczkowski prawie na pewno znał słynną ostatnią kompozycję Williama Hogartha, *The Tailpiece, or The Bathos* (1764), oraz związaną z nią anegdotę biograficzną.<sup>12</sup>

Rzecz zaczęła się mianowicie w mieszkaniu wielkiego angielskiego artysty, na przyjęciu, podczas którego wesoło krążyły kielichy.

– Moim najbliższym przedsięwzięciem – powiedział wtedy Hogarth – będzie namalowanie Końca Wszystkich Rzeczy.

– Jeśli tak – wtrącił się jeden z przyjaciół – to twoje sprawy również się wtedy zakończą, będzie to bowiem i koniec samego malarza.

– Ano właśnie – ciężko westchnął Hogarth – i z tego powodu im szybciej wykonam to dzieło, tym będzie lepiej.

Zaraz też następnego dnia zabrał się do wyteżonej pracy, której rezultatem stała się wspomniana wyżej rycina, przedstawiająca „koniec wszystkiego” za pośrednictwem obficie nagromadzonych rekwizytów, pośród których leżał powalony Czas, z wypadłą mu z ręki złamaną kosą oraz z wychodzącym mu z ust słowem „Finis”. Otaczające go symboliczne rekwizyty obejmowały między innymi pęknięty dzwon, rozbitą flaszkę oraz pękniętą paletę – doskonałe odpowiedniki pustej muszli z obrazu Byczkowskiego.

Dopiero też w owym symbolicznym kontekście można w pełni zrozumieć omyślnie przejęzyczenie się polskiego malarza, który opuszczając kawiarnię zawołał głośno: „*Me nego!*”, czyli: „Topię się!”, pomylił bowiem akcenty, i zamiast wezwać kawiarnianego chłopca Dominika (po włosku *M e n e g o* z akcentem na pierwszej sylabie), postawił akcent na sposób ojczysty, rozdzielając w rezultacie obie sylaby, zmieniając znaczenie całego okrzyku i zdradzając w ten sposób swoje podświadome myśli, popychające go powoli ku samobójstwu. Czyż to utopienie jednak – omyślnie zapowiedziane przez samego Byczkowskiego – nie było najodpowiedniejszym rodzajem śmierci dla strudzonego a pechowego *r y b a k a*?<sup>13</sup>

Oto, co Norwid mógł wtedy odczytać ze swojej ostatniej rozmowy z Byczkowskim, której poszczególne elementy zaczęły mu się układać w plan „prostszy od najprostszych figur geometrycznych”, symetrycznie przylegając nie tylko do przedśmiertnego listu artysty (chusta zinterpretowana może jako całun oraz przedziwne skojarzenie zaproszenia na Lido z treścią jednego z oglądanych wspólnie kapitelów), ale nawet do pewnych historyczno-administracyjnych osobliwości tego ostatniego splechcia ziemi, jaki Byczkowski odwiedził przed swoim zgonem (cmentarz wyklętych ze społeczności).

Wszystkie te drobne elementy zaś – tak proste, zwykłe i codzienne, gdy kolejno występowały podczas ostatniego spaceru ze starym malarzem – niespodziewanie uwypuklone teraz

---

<sup>12</sup> Każdy bardziej szanujący się artysta znał wtedy ryciny Hogartha, a każdy ambitniejszy czytał również poświęcone im głośne dzieło G. C. Lichtenberga *Ausführliche Erklärung der Hogartschen Kupferstiche* (1794 – 99). Norwid znał je już w swoich czasach warszawskich, Byczkowski zaś łatwo mógł się zetknąć z nim podczas swego wieloletniego pobytu w Niemczech.

<sup>13</sup> Kto wie nawet – przychodzi na myśl – czy Byczkowski nie słyszał o zgonie francuskiego malarza Leopolda Roberta, który w roku 1835 popełnił w Wenecji samobójstwo i którego obraz „pożegnalny” również przedstawiał rybaków?

potężnym snopem światła, które rzuciła na nie tragiczna śmierć Byczkowskiego, nabrały od razu jakiegoś osobliwego patosu, jaki towarzyszy zazwyczaj rzeczom i sprawom ostatecznym a tajemnym, kojarzącym się we wrażliwszych umysłach ze światem legend oraz cudownych wydarzeń.

W estetyce Norwida zapełniła się wtedy jeszcze jedna karta, jej treść zaś coraz bardziej zaczęła go chyba umacniać w wyniesionym jeszcze z Warszawy przekonaniu o utajonej sile drzemiącej w rzeczach powszednich.

### III

To, co jest na niebiosach, wydaje mi się jaśniejszym w przygodach rzeczy poziomych, gdy poziome odnosi się przed oczyma moimi na niebiosą.

Gdy mówi się o mistycyzmie Norwida, pada czasem uwaga, że prawie wszystko, co zwykło się przytaczać na ten temat, może się łatwo pomieścić w katolickim dogmacie o „świętych obcowaniu”.<sup>14</sup> Otóż, pomijając już nawet tę okoliczność, że przecież i ów dogmat można uważać za typowy przykład mistycyzmu, nie sposób tak łatwo pokwitować tej nadzwyczaj charakterystycznej i ważnej właściwości autora *Czarnych kwiatów*, który na pewno był mistykiem, chociaż – trzeba to przyznać – mistykiem bardzo trzeźwym, „racjonalizującym” do pewnego stopnia swój mistycyzm i nigdy nie dającym się unieść (a przynajmniej wyjątkowo tylko dającym się unosić) jakimś nieokreślonym i niekontrolowanym porywem szczególnej egzaltacji religijnej.<sup>15</sup>

Stwierdziwszy, że Norwid był mistykiem, musimy jednak zapytać od razu: kiedy nim został? – skoro zaś nic z kolei nie świadczy o tym, że był nim już w kraju, wolno wysunąć przypuszczenie, że został nim dopiero za granicą, i to właśnie we Włoszech, i kto wie nawet, czy nie w ścisłym związku z refleksjami, które opadły go bezpośrednio po zgonie Byczkowskiego.

Grunt był oczywiście przygotowany: wczesna i uważna lektura Mochnackiego, a może nawet modnego i tłumaczonego na język polski Justyna Kerner<sup>16</sup>, uczuliła młodego poetę na pewne zjawiska i nauczyła go kojarzyć je pomiędzy sobą, to uczulenie zaś w dwójnasób chyba wzrosło po przygodzie weneckiej, stanowiącej dla niego nadzwyczaj pouczającą ilustrację tych teorii filozoficznych, które głosiły, że cały wszechświat podlega p r a w u a n a l o g i i, a także iż w otaczającym nas świecie widzialnym bezustannie daje o sobie znać świat niewidzialny, połączony z tym pierwszym niezliczonymi związkami odpowiedniości. Wiara taka, przenikająca wówczas dzieła Novalisa, Ballanche’a, Lamartine’a, Wiktora Hugo, Sainte-Beuve’a, Nerval’a i wielu innych filozofów i poetów romantycznych, stała się również wiarą Norwida, stanowiąc u niego jeden z najbardziej charakterystycznych relikwów konsekwentnie przezycięzanego przezeń romantyzmu. Wierzył też, podobnie jak i tamci pisarze, że w każdym bycie ziemskim tkwi jakiś wieczny symbol, a za każdym wydarzeniem ukrywa się parabola, i skłaniał się chyba do przekonania, że to właśnie p o e t a ma w ręku klucz owych symboli i parabol, nieczytelnych dla przeciętnego człowieka, podobnie jak nieczytelnymi dla przeciętnego warszawianina były rozmaite symbole i aluzje polityczne użyte w Norwidowych wierszach młodzieńczych.

Lekcja wenecka zaskoczyła go też do pewnego stopnia, ale w rezultacie uczyniła go jeszcze uważniejszym obserwatorem, a może i poszukiwaczem innych podobnych zjawisk. Od tego również czasu stale zbliżał do siebie i paralelizował napotymane w codziennym życiu fakty, kojarzył odległe i pozornie nie związane ze sobą zjawiska, uważnie wsłuchiwał się w brzmienie słów, rozszyfrowywał przelotne gesty i analizował przygodne rekwizyty, wszędzie

---

<sup>14</sup> W. Borowy: *O Norwidzie. Rozprawy i notatki*. Warszawa 1960, s. 220.

<sup>15</sup> O ile wiadomo, Norwid przeżywał takie „porywy” jedynie w Nowym Jorku w roku 1854. Zob. *Pisma wszystkie*, VIII 216, 219, 229.

<sup>16</sup> Polskim tłumaczem słynnego dzieła Kerner *Jasnowidząca z Prevorst* (Warszawa 1832), będącego przez wiele lat „katechizmem mediumistów”, był Wincenty Topór Matuszewski, dobry znajomy ojca i stryjcznego dziada poety, a zarazem jego starszy „kolega” w biurze warszawskiej Heroldii.

dopatrując się teraz owej „milczącej mowy”, o której pisał jeszcze w Warszawie (I 9). Takie-  
mu nastawieniu sprzyjały również pierwsze lektury zagraniczne, obejmujące nie tylko uko-  
chaną *Boską Komedię*, ale również dzieła niektórych włoskich conceptystów, Szekspira, Pi-  
smo święte, pisma Ojców Kościoła (przede wszystkim Tertuliana) oraz rozmaite prace filozo-  
ficzne, otuchy zaś dodawały mu znane słowa świętego Pawła o rzeczach niewidzialnych, któ-  
re bywają zrozumiane za pośrednictwem rzeczy konkretnych (*Do Rzymian*, I 20: „Bo rzeczy  
jego [Boga] niewidzialne od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, rozumia-  
ne, bywają poznane”).

Słowa te znalazły odbicie i. w jednym z jego własnych utworów, w którym, odrzucając  
wiarę w metempsychozę, opowiedział się jednak za wiarą w mistyczną analogię dwóch  
światów:

Lecz mnie ci więcej drożsi, co, w rzeczach potocznych  
Trzeźwi będąc, są przecież w wieczne zachwyceni,  
Treść niewidzialną z onych zgadując widocznych.

III 492–13

Taką też właśnie „niewidzialną treść” starał się sumiennie odczytywać i w katakumbach  
rzymskich, studiując tam napisy, rysunki oraz pamiątki pozostałe po pierwszych chrześcija-  
nach, i podczas swoich samotnych wędrówek w okolicach wiecznego miasta, i w rozmowach  
z wybitnymi rodakami, i nawet w teatrze rzymskim, gdzie znalazł się pewnego wieczora –  
akurat tego samego dnia, kiedy na schodach do parlamentu zasztyletowano ministra Rossiego  
– na premierze przerobionego na operę Makbeta, a potem, przyglądając się pustej łoży Ros-  
siego, dojrzał jakby nową sztukę rozgrywającą się pomiędzy sceną a widownią, sztukę nieod-  
parcie przypominającą Szekspirowski „teatr w teatrze”.

Ten ostatni epizod nosi datę 15 listopada 1848 r. W półtrzecia miesiąca później Norwid  
znajdował się już w Paryżu, gdzie spotkał się wkrótce po przyjeździe z jednym z dawnych  
kolegów warszawskich, któremu wydał się wtedy – warto to wrażenie odnotować – misty-  
kiem.

„Uważałem (...) – zwierzał się po latach ów kolega – iż wtedy już opanował go silnie mi-  
stycyzm: rad był rozmawiać w tym duchu, a raz nawet, siedząc u mnie w hotelu, przez cały  
wieczór opowiadał mi, i to z wiarą zupełnie dobrą, o rozmaitych stosunkach, jakie zdarzyło  
się mu mieć z umarłymi. O kłamstwo nie posądzałem go wtedy, ani dziś także nie posądzam,  
gdyż Cyprian był człowiekiem poważnym i prawym, więc też i owych widzeń i spotkań z  
istotami zaświatowymi nie przesądzam.”<sup>17</sup>

Pierwsze lata paryskie należały zresztą do najcięższych lat w życiu poety. Borykał się  
wtedy z nędzą i z niezrozumieniem, przeżywał ciężki zawód miłosny, a na domiar złego  
umarł mu wtedy najbliższy i oddany przyjaciel (Łubieński), oprócz niego zaś poszli na tamten  
świat dwaj „współcześni-zacni”, Słowacki i Chopin, z którymi również szybko zrozumiał się  
i zaprzyjaźnił.

Śmierć Słowackiego i Chopina miała dla niego tym osobliwsze znaczenie, że również  
była poprzedzona iście ominalnymi słowami obu artystów, przypominającymi po trosze daw-  
ny casus Tytusa Byczkowskiego.

– Przyjdź jeszcze w przyszłym, zaprzyszłym tygodniu – mówił do Norwida Słowacki  
podczas ich ostatniego widzenia – potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi.

---

<sup>17</sup> Aleksander Półkoźic [Aleksander Niewiarowski]: *Cyprian Norwid*, „Kłosa”, XLIII, 1886, s. 336.

Młodszy poeta przyszedł w owym „przyszłym” – i cofnął się ze schodów, dowiedział się bowiem o chorobie gospodarza. Przyszedł w „zaprzyszłym” – i zastał już tylko jego zimne zwłoki. Słowacki bowiem „zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł”.

Jeszcze bardziej zdumiewające były „ostatnie” słowa Chopina, nie było w nich bowiem p r z e c z u c i a zbliżającej się śmierci, a jednak owa śmierć przemówiła z nich nadzwyczaj wymownie. Przemówiła zaś wbrew woli i wiedzy mówiącego, podobnie jak to się stało w przypadku Byczkowskiego, gdy bezwiednie zapowiedział swoje samobójstwo.

– Wynoszę się!... – powiedział mianowicie Chopin i zaczął kasłać, gdy zaś Norwid (rozumiejący to oczywiście jako „wynoszenie się na tamten świat”) począł go uspokajać, genialny artysta zakończył przerwane zdanie najbanalniejszą w świecie informacją: – Mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme...<sup>18</sup>

W dwa miesiące później i on pożegnał się z tym światem.

Rozpamiętywanie obu tych epizodów, tak odmiennych, a równocześnie tak podobnych i tak przypominających przypadek Byczkowskiego, przywołało w pamięci Norwida i tamtą historię, którą w rezultacie bardzo dokładnie opisał, a potem wydrukował w jednym z czasopism poznańskich („Goniec Polski” 1850), opatrując tytułem *Menego*, pod nim zaś umieszczając jeszcze napis: *Wyjątek z pamiętnika*, co miało wymownie poświadczyć autentyczność opowiedzianych wypadków, które wielu czytelników mogło poczytywać za zmyślenie, i jeszcze bardziej uwypuklić ich rewelacyjne znaczenie. Stąd też i charakterystyczne motto opowiadania: „Bajki wam niosę, posłuchajcie, dzieci!”

Pisząc *Menego*, Norwid pozostał jednak wierny swojej dotychczasowej poetyce... przemilczania.

Jakże mógł postąpić zresztą inaczej?!

Zgon nieszczęśliwego malarza był jeszcze tak świeży, a poszczególne wiązania jego ostatnich słów, myśli i czynów tak subtelne i tak intymne, że było o wiele właściwiej zrezygnować z jakiegokolwiek ich interpretacji, pozostawiając ten trud wrażliwszym i domyślniejszym czytelnikom, aniżeli pracowicie stylizować swoje opowiadanie, pomniejszając tym samym, i w jakiś sposób obniżając, samoistny walor – i patos! – autentyku.

Utwór został oczywiście doskonale przeoczony albo zlekceważony przez ówczesną krytykę polską, co zresztą w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęło na postawę Norwida, w dalszym ciągu pracowicie kolekcjonującego i spisującego swoje osobliwe przygody z pogranicza dwóch światów – a przeżywał je i w Paryżu, i w Nowym Jorku, i w Londynie, i na Oceanie Atlantyckim – a ponadto coraz mocniej przekonanego o niezniszczalności i o wielkim znaczeniu rzeczy cichych i niepozornych.

Bo nie zginęło żadne utęsknienie,  
I żadna boleść nie przewiała marnie,  
I żaden uśmiech błahy nieskończenie –  
Jest taki anioł, co skrzydłami garnie  
I śmiech, i boleść, i to niedotkliwe  
Człowieka chaos bierze w dłoń, jak żywe.

I 69

Przekonanie takie, w najrozmaitszy sposób wyrażane i wypełniane treścią, jeszcze bardziej chyba utrwaliło się w nim w Nowym Jorku, gdzie zapoznał się ze słynnymi esejami Emersona. Czytał je wtedy „na dachu płaskim, gdzie jest zwyczaj przechadzać się” (VI 426) –

---

<sup>18</sup> Dla Chopina była to zresztą normalna forma wypowiedzi. „Jeszcze tutaj ten miesiąc zostaną – pisał do Wojciecha Grzymały 10 lipca 1849 r. – ale jeżeli siostra nie przyjedzie, to się w y n o s z e, bo mi to wszystko za drogo wypada” (*Korespondencja*. Zebrał i opracował B. E. Sydow, t. II, Warszawa 1955, s. 305).



prawdopodobnie w zamieszkiwanym przez siebie domu na rogu Alei D oraz ulicy Dziewiętej – czytając zaś, natrafił na taką charakterystyczną wypowiedź amerykańskiego pisarza:

„Drobne i niepozorne rzeczy służą równie dobrze jak i wielkie symbole – pisał Emerson. – Im niepozorniejszy jest symbol wyrażający jakiś przepis prawa, tym ostrzej jest odczuwany i tym mocniej wraża się w pamięć ludzką...”<sup>19</sup>

– Skąd on mi to pobrał? – zapytał się może Norwid czytając tę wypowiedź, w taki sam bowiem sposób pokwitował swoją pierwszą lekturę Stendhalowskich *Dziejów sztuki w Italii* (VIII 275).

Jaka wielka szkoda skądinąd, że autor *Czarnych i Białych kwiatów* nie czytał Wawrzyńca Sterne’a (bo go chyba jednak nie czytał), znalazłby bowiem u tego pisarza uwagę jeszcze ciekawszą i jeszcze bliższą swoim poglądom:

„Istnieją tysiące niewidzialnych szczelin, przez które bystre oko może łatwo przeniknąć do samego wnętrza ludzkiej duszy.”

Takim właśnie okiem mógł się poszczycić i Cyprian Norwid.

---

<sup>19</sup> Zob. jego szkic *The Poet*, który Norwid musiał przeczytać w zbiorze Emersona *Essays* (dwie serie: 1841 i 1844).

## IV

Góral? – na Alpów szczycie  
Jeżeli się zabłąka w chmurę –  
Czy wątpi o jej bycie  
.....  
Błądząc – po wtóre?

W samą wigilię dnia zadusznego 1856 r. pod piórem Norwida narodził się wiersz natchniony bliskością owego dnia, a zarazem jak najściślej spowinowacony z jego „filozofią pyłków” (tak bowiem można by ją mianować) i, co było jeszcze ważniejsze, antycypujący w jakiś sposób wydarzenie, które miało zajść dopiero po paru dniach od tej daty.

Wiersz ów, przesłany w liście do Marii Trębickiej, już w swoich pierwszych słowach przynosił refleksję poety nad problemem tajemniczości rzeczy codziennych:

W tej powszedniości, o! jakże tu wiele  
Mistycznych rzeczy i nieodgadnionych,  
Maleńkich, jako światełka w kościele  
Na dzień za dusze święcon pogrzebionych..

I 255 .

Dalszy ciąg utworu zawierał subtelne rozróżnienie *j e d n o t l i w o ś c i*, która zachodzi tam, gdzie są „ciała dwa o jednej duszy”, od *j e d n o m y ś l n o ś c i*, polegającej z kolei na znalezieniu się „dwóch dusz o jednej porze”, co zdarzyło się – jak się wydaje – wtedy właśnie, gdy Norwid był świadkiem ostatnich chwil Byczkowskiego i Słowackiego, w szczególności zaś Chopina, wówczas to bowiem błyskawicznie (choć tylko podświadomie) rozszlifował jego bezwiedną wzmiankę o nadchodzącej śmierci.

W niecały tydzień po napisaniu tego wiersza poranna prasa paryska przyniosła wiadomość o nagłym zgonie Pawła Delaroche’a (zm. 4 XI 1856), znakomitego ówczesnego malarza, będącego w owym czasie, obok swego kolegi Ary Scheffera, jednym z niewielu ludzi, z którymi Norwid utrzymywał bliższe stosunki.

Ta śmierć, dla wielu niespodziewana, nie powinna była jednak zaskoczyć właśnie Norwida, jak najściślej przylegała bowiem nie tylko do jego najświeższych refleksyj zaduszných, ale i do jego ostatniej rozmowy ze starym mistrzem, który pokazał mu niedawno swój najnowszy obraz, przedstawiający Matkę Boską i apostołów, jak wyglądają przez szczelinę okna na zaułek jerozolimski, wypełniony przechodzącym żołnierstwem. Domyślnie: strażnikami żydowskimi otaczającymi Jezusa, którego prowadzą może na Golgotę.

Poeta zrobił wówczas uwagę, że obraz ten powinien mieć jakieś następstwa i że „sam jeden oderwanie wzięty niepełną jest rzeczą”, na co Delaroche odpowiedział, że ma właśnie zamiar zrobić jeszcze dwa inne, tak aby razem uformowały „trylogię”.

– Tak, trzy dopiero obrazy tego rodzaju razem wzięte okażą całość... – dodał na pożegnanie, a przy drzwiach dorzucił jeszcze obietnicę. – Skoro tylko dwa inne obrazki zrobię... pokażę je panu... pokażę je.

Nasuwa się pytanie, co w domysłach Norwida mogły przedstawiać owe dwa projektowane obrazy tworzące z tym pierwszym zamkniętą „całość”, tak bardzo drogą poecie i stanowiącą jedną z podstawowych zasad jego estetyki?

Odpowiedź nie będzie trudna: skoro pierwszy obrazek przedstawiał bowiem drogę na miejsce stracenia, to drugi winien z kolei ukazać samo ukrzyżowanie, trzeci zaś – zmartwychwstanie.<sup>20</sup>

Jeżeli teraz przetłumaczymy „ostatnie słowa” Delaroche’a – posiadające, jak wszystkie ostatnie słowa (w pojęciu Norwida), swoją stronę tajemną, mistyczną – na język codzienny, przekonamy się, że stary artysta jak gdyby zapowiadał nimi swoją własną przyszłość, obiecując zarazem, że objawi ją Norwidowi. Objawi: to znaczy – pomoże mu ją zrozumieć.

Tak też chyba musiało to być pojęte przez polskiego poetę: drugi obrazek, mający przedstawiać śmierć Jezusa, został zastąpiony, w jego przekonaniu, zgonem samego Delaroche’a, trzeci zaś, poświęcony zmartwychwstaniu, można było zrealizować w postaci tak zwanego (przez Norwida) *z m a r t w y c h w s t a n i a h i s t o r y c z n e g o* (VI 616), możliwego do urzeczywistnienia dzięki pracy innych osób, rozumiejących i wyjaśniających niedokończone prace i pomysły zmarłego.

...my rzucamy tu mnóstwo promieni  
Krzywych lub prostych; dobrzy, te zebrawszy drugie,  
Pracują, by odprościć pierwsze, i zasługę  
W tym mają...

III 499

Otóż obowiązek takiego „wyprostowania” jednego przynajmniej pomysłu Delaroche’a spadł teraz na jego polskiego przyjaciela-artystę, który postanowił wywiązać się z tego za pośrednictwem wiernego wspomnienia o swoim ostatnim spotkaniu ze zmarłym malarzem, traktując równocześnie to spotkanie jako końcowe ogniwo dłuższej sekwencji takich swoich ostatnich spotkań – ze Słowackim, z Chopinem, z Mickiewiczem (przed jego wyjazdem do Stambułu), a nawet z anonimową Irlandką zmarłą na okręcie wiozącym Norwida do Ameryki – wszystkie takie spotkania bowiem, sklamrowane ze sobą mistyczną wymową *o s t a t n i c h s ł ó w*, które zostały podczas nich wypowiedziane, stały się nagle walnymi argumentami przemawiającymi za prawdziwością tezy o przenikaniu się dwóch światów oraz o nieustającej tych obu światów analogii, dostrzegalnej przede wszystkim w tych sytuacjach, które można by nazwać, posługując się terminologią egzystencjalistów, „granicznymi”.

I w tym zresztą przypadku Norwid przemilczał ów wyraźnie nasuwający mu się wniosek i nigdzie go wyraźnie nie sformułował, poprzestając jedynie na przytoczeniu bardzo wygodnych, a zarazem bardzo wymownych słów Voltaire’a:

„Drzę, to bowiem, co właśnie powiedziałem, upodabnia się do systemu.”

Przemilczenie było tu tym bardziej na miejscu, że i Delaroche przecież „przemilczał” na swoim namalowanym obrazku postać Chrystusa. Przypomnijmy zaś, że Norwid powiesił sobie nad łóżkiem krucyfiks bez... Ukrzyżowanego, którego istnienie zgadywało się jedynie ze śladów krwi, kunsztownie rozmieszczonych w tym miejscu, gdzie powinny znajdować się ręce, nogi i głowa.<sup>21</sup> Ba! toć przecież i wszystkie przytoczone przez Norwida słowa i zachowania występujące w jego ostatnich spotkaniach zawierały w sobie *implicite* śmierć, ale śmierć *p r z e m i l c z a n ą*, i dopiero po paru dniach, tygodniach czy miesiącach zrealizowaną, a więc jak gdyby *w y p o w i e d z i a n ą*.

---

<sup>20</sup> Norwid nadaremnie dopytywał się o te obrazki w listopadzie 1856 r., one jednak rzeczywiście zostały namalowane i pokazane wiosną 1857 r., na pośmiertnej wystawie Delaroche’a, zyskując sobie przychylne słowa Teofila Gautiera („L’Artiste” 1857, z. 5 z 3 maja), który na ich podstawie wypowiedział nawet przekonanie, że „artysta, zatrzymany przez śmierć, wkraczał w nową sferę” twórczości.

<sup>21</sup> Ten sam motyw poeta podjął później w *Aktorze*, akt III, w. 558–61 (IV 433).

Śmierć nie dopełniła, acz wisząca już przez dłuższy czas nad skazanymi artystami, dopełniła się więc dopiero w przyszłym zjawisku fizycznym, przywołując w pamięci słowa Norwida napisane w r. 1855, a traktujące

O starożytnej rzeźbie idealnej,  
Która człowieka stawia duch na grobie,  
S-kompletowany śmiercią i realny...

III 75

Cała sekwencja Norwidowych spotkań posłużyła w ten sposób do napisania, jeszcze chyba w połowie listopada 1856 r., przedziwnego utworu *Czarne kwiaty*, tej szczególnego rodzaju prozy filozoficzno-komemoratywnej, która była wiernym odbiciem – jak to słusznie zauważył sam autor – owych „powieści, i romansów, i dram, i tragedij w świecie niepisanym i nieliterackim, o których się naszym literatom ani śniło”.

Nie śniło się o nich przeważnie i współczesnym prozaikom francuskim, uganiającym się głównie za tym, co głośne, sensacyjne, egzotyczne i modne, a czego najdobitniejszym przykładem mógł być romans jaki, à la Teofil Gautier<sup>22</sup>, „fantastycznie skłamany po zażyciu indyjskiego haczysz”. I tu jednak były wyjątki, takim wyjątkiem zaś – przypomnianym chyba wtedy przez Norwida – był wymieniony już Augusta Brizeux, którego bezpretensjonalny *Cień*, mimo wszystkich swoich dłużyzn, „ładności” i naiwności, mógł jednak odegrać rolę swoistego bodźca psychicznego, i przyczynić się w swoim czasie do zredagowania *Menego*, a po latach i do zredagowania *Czarnych kwiatów*.

To Brizeux również wypowiedział zdanie, pod którym Norwid na pewno mógłby się podpisać:

„Zachowanie rysów wielkich ludzi jest po prostu obowiązkiem, to szczęście bowiem, kiedy ich spotykamy.”

Obrazek Brizeux to jednak rzeczywiście tylko cień w porównaniu z nekrologiczną suitą *Czarnych kwiatów*, w których Norwid osiągnął wyżyny artyzmu nie dlatego, że opisał i sparałelizował na ich kartach kilka przedziwnych epizodów z życia wybitnych ludzi<sup>23</sup>, ale dlatego głównie, że opisując te epizody, bez wyjątku omroczone zbliżającym się zgonem bohaterów, całkowicie zrezygnował z wszelkiego rodzaju ozdobników stylistycznych i tanich smaczków literackich, unikając jak gdyby stylu „przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej, a z siebie samej zupełnej i zajmującej”

Podobną metodę zastosował już w *Menego*, na karty tej opowieści wtargnęła jednak z konieczności egzotyczna Wenecja, imponująca swoim oryginalnym pięknem i bogactwem swoich arcydzieł. Tego wszystkiego udało się uniknąć w *Czarnych kwiatkach*, których narracja została zamknięta w samych tylko szeptach i gestach, obrazowanie zaś sprowadzone do najprostszych realiów życia powszedniego, ujmując każdego bohatera w mało wykwintne, ale realistyczne ramy starannie „odfotografowanych” wewnątrz mieszkalnych, tym wierniej, że prawie bez wyboru, charakteryzujących każdego ich gospodarza.

Zaznaczony tu moment fotograficzności nie uszedł bynajmniej uwagi samego Norwida, tłumaczącego się przed czytelnikami, że ilekroć pragnął opisywać takie swoje ostatnie spotkania, tylekroć nie wiedział, jak pominąć w opisie swoiste tło owych spotkań i „dlatego właśnie w daguerotyp raczej pióro zamieniał, aby wierności nie uchybi”<sup>24</sup>.

<sup>22</sup> Norwid miał może na myśli jego opowiadanie *Club des hachichins* (1846)?

<sup>23</sup> Dziwny przypadek sprawił, że w tym samym zeszycie „Dodatku Miesięcznego” do „Czasu”, w którym opublikowano *Czarne kwiaty*, ukazała się anonimowa korespondencja z Londynu, prawie w całości wypełniona opisem takich samych właśnie przedśmiertnych epizodów oraz rejestrem „ostatnich słów” różnych wybitnych osobistości.

<sup>24</sup> Por. inne jeszcze „fotograficzne” opisy Norwida: *Pisma wszystkie*, IX 132–33, 173, 179 itp.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, ile niekłamano a cichego patosu przyniosła zastosowana przez Norwida metoda literacka, tym właśnie patosem i tą kunsztowną prostotą wyróżniająca jego opowieści spośród tysiąca wymizdrzonych, usztuczonych i zakłamanych wspomnień pośmiertnych, pisanych pod publiczność i na pierwszy plan prawie zawsze wysuwających nie zmarłych, ale zadufanych w sobie nekrologistów.

Opowieści swoje nazwał poeta *Czarnymi kwiatami*, pełniły bowiem w dużej mierze rolę k w i a t ó w rzuconych w hołdzie na grób kilku znakomitych artystów oraz jednej pięknej kobiety, kolorem zaś swoim podkreślały nastrój ż a ł o b y. I ten tytuł jednak nie byłby się może uformował, gdyby nie przedśmiertne majaczenie Stefana Witwickiego, któremu się wydawało, że w jego rzymskim mieszkaniu wyrosły nagle jakieś osobliwe kwiaty, znane mu jeszcze z dzieciństwa, ale których nazwy nie umiał sobie przypomnieć. Tę nazwę a zarazem barwę dopowiedział teraz Norwid, przekonany najwidoczniej, że majaczenie chorego pisarza antycypowało w jakiś sposób jego pogrzeb oraz kwiaty, jakimi zarzucono jego mogiłę.<sup>25</sup>

Wspomnienie o Witwickim zaczęło w rezultacie całą znakomicie skomponowaną suitę nekrologiczną, wyjaśniając od razu jej tytuł, podobną zaś rolę odegrał bezpośrednio poprzedzający je epizod katakumbowy, pełniący do pewnego stopnia rolę motta i z góry już zapowiadający, że treścią Norwidowego szkicu będzie braterskie „uszanowanie i omodlenie” kilku zgonów bliskich sercu i myślom autora.

Nie na próżno, jak widać, Norwid – który lubił się wywodzić od Normanów – charakteryzował tych ludzi morza jako „organizatorów (...) mających sens i twardą rządność okrętowego kapitana” (VI 125).

---

<sup>25</sup> Warto tu jednak nadmienić, że Norwid, który stale czytywał paryską „Revue des Deux Mondes”, musiał się w niej natknąć (w zeszycie z 1 czerwca 1855 r.) na cykl osiemnastu wierszy Ch. Baudelaire’a, zatytułowany po raz pierwszy tak, jak i słynny zbiór z 1857 r.: *Les Fleurs du mal*, co mogło podświadomie – ale oczywiście w wyraźnej opozycji do poetyki Baudelaire’a – zapłodnić go owym „kwiatowym” tytułem (i symbolem).

## V

O! deski te – żebyście wiedzieli  
jak deski, które w portowych miastach  
na wybrzeżach martwo i cicho  
leżą – żebyście wy wiedzieli, do ila  
patetycznymi one są sprzętami.

Wśród wielu spraw niedopowiedzianych czy przemilczanych w *Czarnych kwiatach* była wszakże jedna, którą Norwid zapragnął jak najszybciej dopowiedzieć i obszerniej wytłumaczyć, leżała mu bowiem na sercu i była bardzo ściśle związana z całym jego pisarstwem, tak często nie rozumianym i krytykowanym przez współczesnych.

Sprawą tą były pewne zasady i zalecenia jego nowej estetyki, którą pragnął wywikłać z „falszów estetyki schorzałej”, poszukując dróg „odbudowania szkoły nowej w s z t u c e czy to w l i t e r a t u r z e – s z t u c e”, szkoły oczywiście polskiej, ale takiej zarazem, żeby mogła wystąpić – i to zwycięsko – na gruncie europejskim.

„Mniemam (...) – pisał Norwid – że byłoby zarówno pięknie, jak, z d a j e m i s i ę, k o n i e c z n i e p r a w i e, aby sztuka polska, pod tym względem p i e r w s z ą się w europejskiej dzisiejszej literaturze jawiąc, słupy swe żelazne zakopywała stanowczo i wyraźnie.”

Swojej nowatorskiej estetyki nie chciał jednak wyklądać ani po francusku, obawiał się bowiem, że jako zupełnie nieznaną tamtej publiczności będzie, jak to zazwyczaj bywa, zlekceważony, ani też „po akademicku”, w zwyczajnej a suchej prozie dyskursywnej, był bowiem przekonany, że walki o taką nową teorię nie można zaczynać od „systematów”.

Kilka lat wcześniej użył w podobnym celu w i e r s z a (*Promethidion*), tłumacząc się, że „rytm miarą swoją i muzyką uspokaja, miarkuje i zlagadza” pewne bardziej „drażliwe”, czyli rewolucyjne, pomysły estetyczne (III 429). Teraz z kolei posłużył się o wiele bardziej czytelną i o wiele odpowiedniejszą p r o z ą, zastosowaną nie tylko w tekście samego wykładu-komentarza, ale również w tekście samych przykładów, mających zilustrować nową estetykę „prostotliwą parabolą, z życia bezstronnie przyjętą”.

Taką właśnie parabolą, dokładniej zaś: całą s e r i ą p a r a b o l, następujących bezpośrednio jedna po drugiej, były w całości Norwidowe *Czarne kwiaty*, i takie również parabole inkrustowały tekst *Białych kwiatów*, które należały w istocie do innego rodzaju literackiego, ale które z drugiej strony ściśle przylegały do wyprzedzających je chronologicznie *Czarnych*, stanowiąc ich dialektyczne dopełnienie i objaśnienie.

Jeśli pierwszy utwór można było potraktować jako „praktykę” nowej estetyki, to drugi był jej „teorią”; jeśli pierwszy był „treścią”, to drugi „głosą” na jego marginesie. Skoro zaś pierwszy zawierał w tytule c z a r n e kwiaty, to drugi mógł się odróżnić od niego b i a ł y m i, co było tym więcej uzasadnione, że omówione w nim i zalecone środki ekspresji artystycznej zostały scharakteryzowane przez Norwida jako „białe”, „bezbarwne”, „bezmyślne” albo „nic nie opowiadające”.<sup>26</sup>

Jeśli chodzi z kolei o zestawienie takich dwóch kwiatowych i kolorowych tytułów, za którymi kryły się dwie serie epizodów biograficznych, to Norwid zawdzięczał je wyjątkowo przeczytanemu przez siebie (VIII 206) Alfonsowi Karrowi, który w ten właśnie sposób różnił swoje opowiadania zawarte w zbiorcu *Roses noires et roses bleues* (a więc również kwiatowe i kolorowe!). „Czarne róże” oznaczały w owym zbiorcu wspomnienia smutne i

---

<sup>26</sup> Norwid znał nb. tomik oryginalnych opowiadań swego warszawskiego znajomego, Antoniego Tyszyńskiego, zatytułowany *Morena, albo Powieści blade* (Warszawa 1842).

żałobne (*tristes et funèbres*), „niebieskie” – opowiadania bardziej pogodne, traktujące z kolei o niespełnionych marzeniach.

Cóż to były jednak za nowe środki ekspresji artystycznej proponowane przez Norwida w obu seriach jego *Kwiatów*?

Otóż jednym z nich był już tylekroć stosowany w jego twórczości, ale nigdy tak nie nazwany, *p a t o s p o w s z e d n i o ś c i*, konkretnie zaś – występujący w niektórych sytuacjach życiowych, a więc na odpowiednim tle, ów wspomniany już *patos* rzeczy, spraw i słów drobnych, niepozornych i nic przez się nie znaczących, które jednak, wprowadzone w jakiś większy układ, tworzyły z nim harmonijną i wymowną całość, dopełniając go i wyjaśniając, a równocześnie same zyskując na ważności, i stając się doskonałą ilustracją poglądów filozoficznych Norwida.

Wszystkie te zjawiska mogły występować (i zazwyczaj występowały) w ciszy, w wyciszeniu albo w milczeniu, przemawiając osobliwą „milczącą mową” znaku, symbolu, gestu czy analogii, stąd też i sama *c i s z a* (zawierająca w sobie *i m i l c z e n i e*) stanowiła osobną a ważną kategorię estetyczną, docenianą przez Norwida już od czasów warszawskich, teraz zaś potraktowaną przez niego jako konieczny warunek każdego pełnego dramatu oraz w ogóle wszelkiej dramatyczności.

Takie osobliwe misterium *c i s z y* było już przedmiotem zainteresowania poety w jego tragedii *Krakus* (1851):

...kto ciszę słyszał aż do dna,  
Temu i trumna bywa wygodna;  
Ale jest nocna cisza i dzienna,  
Jest dno mająca i jest bezdenna –  
A o tej drugiej rzecz zbyt zawiła;  
Co nie dopowiem, powie mogiła.

IV 166

Zalecając teraz pisarzom ów *p a t o s* („błogosławiony i szczęśliwy pisarz, który prawdziwej patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże”) oraz ową *c i s z ę* (*d r a m a t y c z n ą* („*d r a m y* prawdziwej nie może być, ilekroć się zatraci pojęcie dramatyczne ciszy i pojęcie jej natur”), Norwid zdawał sobie doskonale sprawę z trudności ich dostatecznie precyzyjnego i jednoznacznego objaśnienia, toteż uciekł się, niby do ilustracji, do przykładów z własnego życia, włączając w tekst *Białych kwiatów* tak nazwany przez siebie „*spis kilku wrażeń*”, to jest opis siedmiu przygód, które przeżył bądź jeszcze w rodzinnych Głuchach, bądź już na emigracji, i którymi teraz umiejętnie wyinkrustował swoje wywody.

Niektóre z takich przykładów posłużyły nawet do zilustrowania obydwu nakazów jego estetyki.

Przygoda w Albano przyniosła więc nie tylko opis „niebieskiej uroczystości *c i s z y*”, przerwanej dzwonieniem na *Angelus*, ale i wzmiankę o interesującym *n i e d o p o w i e d z e n i u* włoskiego wieśniaka.

Relacja o rzymskiej premierze *Makbeta* dostarczyła znanych już szczegółów o nowym *m i l c z ą c y m* dramacie, jaki zaczął się grać w pustej łoży zamordowanego ministra, dzięki ciągle żywotnemu prawu *a n a l o g i i*.

Podróż poety okrętem żaglowym do Stanów Zjednoczonych umożliwiła mu przeżycie „*ciszy w najkolosalniejszym słowa tego tonie*” – *c i s z y* na oceanie.

Błogosławione są islandzkie mroki  
I cichość morska, taka – że umarli,  
Nie mając w grobach zarówno głębokiéj,

Może by śmierci swoich się zaparli.  
– Otchłanie morza i niebios otchłanie  
Dnami tam w siebie patrzą, poza nie,  
I fal jakoby nie było:  
Cisza, co słowu nakazując ciszę,  
Zda się układać z samym Słowem-słowa,  
Ze swoich prac nie skończyło – –

III 476

Ta sama c i s z a stała się równocześnie tłem dwóch wydarzeń na okręcie, które znalazły się w orbicie nowej estetyki Norwida. Pierwszym z nich był niespodziewany niedzielny dar otrzymany przez Norwida od towarzysza podróży, a upatetyczniony w y j ą t k o w ą s y t u a c j ą na okręcie; drugim – dyskusja o „Bożoczołwieczeństwie” Chrystusa, prowadzona z tymże towarzyszem (Izraelitą), a upatetyczniona w pewnym momencie zarówno a n a l o g i ą obrazową (była bowiem mowa o Chrystusie chodzącym po falach), jak i wymownym p r z e m i l k n i ę c i e m obu rozmówców.

Tak często obserwowane przez poetę prawo a n a l o g i i wystąpiło również w jego przygodzie nowojorskiej, kiedy to przypadkowy może spacer w towarzystwie księcia Marcelego Lubomirskiego zawiódł obu przyjaciół na miejsce, gdzie znajdował się wrak okrętu związanego z imieniem Kościuszki, uświadamiając Norwidowi, że obecna wygnanica doła Księcia stanowi jakby symboliczne wyrównanie rachunku z Kościuszką, który wyjechał do Stanów Zjednoczonych wygnany w jakiejś mierze przez dumnego magnata, nie pozwalającego ubogiemu oficerowi ożenić się ze swoją córką, wydaną później za stryjecznego dziada księcia Marcelego.

Najliczniejsze jednak przypadki, trzy spośród siedmiu, dotyczyły najpowszedniejszych właściwie powiedzeń, nic prawie nie znaczących w oderwaniu od danej sytuacji i nic właściwie nie „opowiadających”, ale również upatetycznionych i uwypuklonych przez odpowiedni kontekst.

I fraszka nieraz mała – gdy z a p y t a  
S f i n k s o w y m g ł o s e m – na długo myśl chwytą...

III 144

Pierwszy wydarzył się jeszcze w dziedzicznej wiosce Norwidów, Laskowie-Głuchach, latem 1836 r. Przyszły poeta, rozczytany wtedy w czwartej części *Dziadów*, spacerował między sadem a warzywnikiem, gdy doleciał go nagle śpiew wiejskiej dziewczyny, przynosząc urwane słowa piosenki ludowej nuconej u Mickiewicza przez Gustawa -Pustelnika. Norwid stanął wtedy jak wryty ze zdumienia, potem zaś pokwitował bezwiednie tę piosenkę p r a w i e t a k i m i s a m y m i s ł o w a m i, jakie w dramacie Mickiewicza wypowiedział jego bohater.

Inaczej było z drugim przypadkiem, paryskim, z początku 1849 r. Poeta, świeżo przybyły z Rzymu, rozmawiał wtedy z księciem Adamem Czartoryskim o wykopaliskach na Forum Romanum i w pewnym momencie zapytał go, kiedy ten je po raz ostatni oglądał. „To było w przeszłym stuleciu” – odpowiedział sędziwy arystokrata, nie zdając sobie sprawy, że te proste, czysto informacyjne słowa, nabrały teraz, w dobie Wiosny Ludów, jakiejś nowej, osobnej głębi, doskonale wyczuwanej przez co wrażliwszych słuchaczy.

*Casus* ostatni, nie znany niestety Freudowi, który mógłby go uczynić przedmiotem wyczerpującej analizy psychologicznej (przede wszystkim w swoim dziele o psychologii życia codziennego), przydarzył się w Londynie, w r. 1854, gdy mocno już głuchy Norwid przyjął w swojej ubogiej i słabo oświetlonej izdebce jakiegoś nie znanego sobie Polaka, i gdy głośną



apostrofe tamtego: „Rodaku!”, zrozumiał jako: „Robaku!”, tak ją bowiem skonstelowały pewne elementy sytuacyjne: wysoki wzrost, rycerskie rysy, męski głos i gruba laska gościa – nadające mu znamiona jakiegoś groźnego autorytetu (Norwid nb. był niski i wątły); ciemność mieszkania – kojarząca jego wnętrze z grobem albo więzieniem; ubóstwo wreszcie i zaniechanie izdebki, domu, a nawet dzielnicy miasta, w której ów dom się znajdował – wywołujące z kolei natrętne wrażenie nędzy i brudu, a więc pośrednio i... robactwa.

Dodajmy do tego jeszcze, iż Norwid znajdował się wówczas w ciężkiej sytuacji materialnej i w poważnej depresji psychicznej, która wywoływała mu pod piórem wyznania, że jest „proch” i że na dnie jego duszy kryje się „brudne jestestwo” (VIII 229); wyjaśnijmy, iż wspomnianą tu apostrofe nieznanego poprzedziła wymiana słów na temat jej najwłaściwszej formy, zakończona przez Norwida uwagą, że wszystko „zależy od tego, jako się powiada albo słyszy” – a w pełni docenimy zarówno ówczesną reakcję poety, jak i jego późniejsze narzekanie na stosunkową łatwość poddawania się w tych sprawach przypadkowi, czyli, jak on sam się wyraził, „formułkom czczym bezpatetycznej dramy”.

I tu dojrzał on zresztą „biały kwiat”, dziwne tylko, że potraktował go inaczej aniżeli w przypadku p r z e j ę z y c z e n i a s i ę Byczkowskiego, jego własne p r z e s ł y s z e n i e s i ę było bowiem równie chyba wiernym odbiciem podświadomego i równie chyba dramatycznym (choć, na szczęście, nie tragicznym!) wycinkiem aktualnej rzeczywistości.

Kompozycja *Białych kwiatów*, trochę luźniejsza i z konieczności trochę bardziej skomplikowana aniżeli w *Czarnych*, polega na połączeniu dyskursywnego i usianego dygresjami wstępu – którego początkiem, użytym niby motto całości, jest przypomnienie płaskorzeźby ukazującej z a n i e m i a ł e g o Zachariasza – z siedmioczęściową sekwencją ilustracyjną, przy czym ta sekwencja została w pewnym miejscu przedzielona dygresją na temat trudności związanych z upowszechnieniem nowych pomysłów estetycznych, poszczególne zaś przykłady parokrotnie sklamrowano wywodami czy wiązaniami teoretycznymi.

Większa tu jeszcze, i nie bez przyczyny, „nieobecność stylu” niż w *Czarnych kwiatach*, Norwid starał się bowiem posługiwać wszędzie, zgodnie ze swoimi wywodami estetycznymi, owymi bezbarwnymi słowami „prawdziwej patetyczności”, usilnie unikając wszystkiego, co by zabrzmiało głośniejsz albo błysnęło jaskrawiej, i konsekwentnie utrzymując całą gawędę w atmosferze wyciszenia i szarości.

Z tym naczelnym nastrojem doskonale harmonizują nie tylko milczące albo wyciszone „przygody” poety, ale również towarzyszące tym przygodom p e j z a ż e, odmalowane niby najdelikatniejszymi pociągnięciami pędzelka akwarelisty.

Scena w Laskowie-Głuchach rozgrywa się więc „w dzień najprozaiczniejszej barwy, ni suchy, ni dżdżysty, o dobie około południowej i bardzo powszednią barwę mającej, na zagrodzie ubogiej (...), na prostej, bezpoetycznej (...) równej jak piaski ziemi”; scena w Albano ma za tło „niebo chmurki nieświadome i jezioro nieświadome zmarszczki”, kiedy to „laury wiśniowe nieporuszonymi i szerokimi liśćmi swymi cień jak one cichą rozrucają”; scenie rzymskiej towarzyszy na zewnątrz „on harmonijny wieczór włoski” oraz księżyc „przesłoniiony chmurą wąską, jak kiedy prosty człek rękawem ociera czoło swoje – albo oczy przysłania”; scena okrętowa toczy się „przed oczekiwaną burzą”, na pokładzie okrętu „miotanego ogromnymi falami”, a w pewien czas po przeżyciu przez poetę ciszy morskiej „w najkolosalniejszym słowa tego tonie”; podczas sceny amerykańskiej wreszcie „słońce właśnie ku zachodowi miało się, chmurą mocnymi promieniami przesyta osłonięte”, opodal zaś było widać niewielkie wzgórze „zielonym wówczas porośnięte żytem (...), dalej szeroka rzeka srebrzyła się pod słońca jasnością”.

Zarówno ów ascetyczny styl fragmentów dyskursywnych, jak i biały, bezbarwny, cichy patos fragmentów opisowych miały dalsze konsekwencje w rozwoju oryginalnej prozy Norwida. Pierwszy ukształtował jego późniejsze szkice filozoficzne, estetyczne i historyczne, drugi z kolei odcisnął się w zapoczątkowanej już po dwóch latach prozie nowelistycznej,

trzeba zaś koniecznie wyjaśnić, że króciutkie anegdoty *Czarnych* i *Białych kwiatów* z wielu względów, zasługują, żeby je nazwać mikronowelami (podobnie jak *Menego* wielokrotnie traktuje się jak normalną nowelę), były bowiem naturalnymi załączkami przyszłych nowel Norwida, tak bardzo przesiąkniętych z tego powodu parabolicznością i tak mocno, podobnie jak i tamte, „zaczepionych o życie”.

Pisząc obie swoje suity „kwiatowe” – tylko o kilka miesięcy wyprzedzające trujące *Kwiaty zła* Baudelaire’a (lipiec 1857) – Norwid był oczywiście dobrze świadom ich wielkiej oryginalności i prawdziwego nowatorstwa literackiego, które wielu grubym albo uprzedzonym umysłem mogło się wydawać jedynie niczym nie uzasadnionym dziwactwem.

„Nie celem mi tu śmiech ani środkiem nawet – wyraził się, myśląc o podobnych krytykach, na kartach *Białych kwiatów*. – Może (...) posłużę i ja komu za objaśniającą śmiesznością swą świeatko... wszyscy służymy... estetyka zaiste że narodowa polega na tym...”

Rozsądne, spokojne i pełne wewnętrznej pokory słowa Norwida nie wywarły zresztą żadnego wrażenia na ówczesnych niezrozumiałcach i grubianach literackich.

„Ogłoszeniem takich potworności – pokwitował Julian Klaczko ogłoszenie *Czarnych* i *Białych kwiatów* w „Dodatku Miesięcznym” do krakowskiego „Czasu” – [redakcja] zdaje się przypuszczać do swego koleżeństwa umysły, dla których jedyne tylko i właściwe braterstwo – Bonifratrów.” Owe „purchawki”, jak równocześnie nazwał Norwidowe przedziwności literackie, były jego zdaniem jedynie „wzorem wydymanej nicości, w której dziwolągom myśli odpowiadają dziwolągi języka, a niesłychana zarozumiałość walczy tu o prym z jaskrawym nieuctwem”.<sup>27</sup>

Haniebne słowa Klaczki, który już parę lat wcześniej nazwał *Promethidiona i Zwolona... a n d r o n a m i*<sup>28</sup>, zostały zastąpione innymi dopiero przez nekrologistę Norwida, Agatona Gillera, wyrażającego się o *Czarnych* i *Białych kwiatach* jako o szkicach „pełnych wdzięku”...<sup>29</sup>

W r. 1883, kiedy te słowa zostały wydrukowane, była to jeszcze dobra etykieta dla obu tych utworów, dla których „formuł stylu” nie było, i które – nie mieszcząc się ani w wysokiej poetyce „książkowego klasycyzmu”, ani w poziomej poetyce gazeciarskiego reportażu – karpriśnie wymykały się spod przymierzanego do nich łokcia recenzenckiego.

---

<sup>27</sup> „Wiadomości Polskie” (Paryż) 1857, nr 18.

<sup>28</sup> „Goniec Polski” 1851, nr 209; *Do Teofila L...*

<sup>29</sup> Anonimowy nekrolog Norwida: „Kurier Paryski” 1883, nr 43.

## VI

Zbyt popularnym afiszów językiem  
Gada się z każdym, lecz nie mówi z nikiem.

Po teorii nastąpiła ożywiona praktyka, a chociaż poecie nie udało się napisać projektowanej jeszcze w Ameryce epopei filozoficzno-moralnej *Ziarnko gorczyczne*, w której pragnął między innymi przedstawić idealną harmonię „każdego ziarnka osobnego, każdej perły, do grona całego” (VIII 210), to jednak prawie cała jego późniejsza twórczość dobitnie świadczyła o wielkiej wadze, jaką przykładał do tego rodzaju harmonijnego układu, jakby wynoszącego w górę i świetnie nobilitującego takie właśnie ziarnka, perły, prochy, pyły i atomy, lekceważone przez „sztywne chóry” ludzi-lalek, uganiających się jedynie za „cackami”.

Do nich to właśnie przemawiał w wierszu *Sława* (1858), szydząc z ich ograniczoności, która pozwalała im podziwiać jedynie gwar, blask i powab:

...onej ćmy zielonej atom,  
Co wleciał oknem, ledwo dostrzeżony,  
I, dyjamentom i we włosach kwiatom  
Szepcząc coś, znika... myślicie?... „s t r a c o n y!...”  
– I gwar, myślicie... że jest gromem dziejów?  
A sławy puzon, że to róg na knieje;  
I że już cichych nie ma kaznodziejów  
W obliczu niebios, co przez szyby dnieje...  
– Pyły, z posadzki podniesione nogą,  
Że mogą nie mieć w sobie zwłok człowieka?...

I 289–90

I w tym fragmencie, jak zresztą w dziesiątkach innych poetyckich fragmentów Norwida, możemy zaobserwować nadzwyczaj oryginalne sprzężenie dwóch ulubionych motywów jego poezji: „gromów” i „pyłów”, sprzężenie tym bardziej interesujące, że objęte nim pyły – umieszczone w owej antytetycznej strukturze jak gdyby u najniższego stopnia potężnej drabiny, której wierzchołek, skierowany w niebo, znajduje się już w sferze gromów i błyskawic – mogły być przecież włączone w „harmonię stworzenia” i również przedostać się w taką samą sferę zjawisk numinalnych.<sup>30</sup>

Uwydatnił to Norwid w swojej *Rzeczy o wolności słowa* (1869):

Nie inaczej z człowiekiem. Gdy nań kto poziera,  
Jak on jest, i purpurę zeń świętości zdziera,  
Oglądając go lichym od stopy do powiek,  
Jak pyłu garść na wietrze – cóż to mi za człowiek!  
Ale pył ów wniesiony w harmonię stworzenia,  
Kiedy atomem swoim w gwiazdę się przemienia  
I kochając, cierpiąc, rośnie co godzina, co wiek,

Co okres – powiadamy wtedy: oto człowiek.

III 621–22

<sup>30</sup> Oryginalne to sprzężenie, wielokrotnie (prawie obsesyjnie) występujące w różnych wierszach Norwida, awansowało z czasem do rangi osobnego tytułu, którym poeta opatrzył swój zaginiony zbiorek „brukselski” (wydany rzekomo w 1865 r.): *Gromy i pyłki*.

Tak wysoka ocena każdego „pyłu”, ściślej zaś: wymownego drobiazgu, który można było umieścić w rozmaitych układach, za każdym razem wydobywając z niego jakiś inny walor skojarzeniowy, coraz mocniej wpływała na poezję Norwida, wyciszoną teraz, bezkolorową i ascetyczną, a przy tym w o wiele większym stopniu aniżeli poprzednio operującą aluzją, symbolem i niedopowiedzeniem.

„Co prawdą jest – mówił Norwid – jest nią w obrocie planet na niebiesiach, i w ziarnku piasku, i w s e r c u, i w k i e s z e n i, i w s z ę d z i e – inaczej to żarty!” (IX 185).

Takie iście Blake’owskie<sup>31</sup> przekonanie stale już odąd towarzyszyło poecie, programowo przekładającemu przy tym powszedniość nad niezwykłość, miniaturowość nad kolosalność, cichość nad gwar i zgłębienie, a enigmatyczność nad rubaszną i dosadną wyrazistość. Cała też jego poezja była nasycona poważnymi a misternie wplecionymi w nią treściami ideowymi, „szczerą nie będąc jako ryk bydłęcy, – lecz w przezroczyście owianą półcienia, – fałd tajemniczych pełną i osłonek” (I 391).

Doskonałym komentarzem do tej postawy była anegdota przytoczona przez Norwida w *Rzeczy o wolności słowa*, a związana z osobą Aleksandra Wielkiego, który zagadnął kiedyś hinduskiego mędrca-pustelnika o przyszłość:

Ale on pojrzał w czoło Jowisza synowi,  
W złoty oprawne kirys... i nic nie powiedział – –  
A potem wstał... na miejsce pojrzał, gdzie był siedział,  
I bosą nogą w prochu poziomym zaorał...  
I umilkł: Grecy powieść pojęli i morał!  
Ten jest pomnik pierwszego S ł o w a-m o n o l o g u,  
Gdy mniej znało jak z ludźmi być? więcej – jak? Bogu,  
I będąc sfinksem-światu, na czas wynalazło  
C i e m n ą z a g a d k i f o r m ę, jak hamulec na zło,  
Przed którym zastanowić się musiał koniecznie  
Próżny człek...

III 575

„Przed którym zastanowić się musiał koniecznie.” Oto kategoryczny imperatyw poetycki Norwida, stanowczo żądającego, aby czytelnik jego wierszy „zastanowił się” w trakcie ich lektury, nie poprzestając jedynie na prawie biologicznym wchłanianiu ich rytmu, brzmień i obrazów.

Tego rodzaju zaś milczące zastanowienie się przed wymownym drobiazgiem to prosta droga do zaobserwowania takich jego właściwości i możliwości, których nigdy nie zauważyłoby się „czytając pędem”. To również droga do odkrycia niespodziewanego patosu rzeczy i spraw powszednich. To wreszcie kamień węgielny nowoczesnego pojęcia tragiczmu, nie potrzebującego już teraz k r w i, żeby poruszyć sumieniem i wyobraźnią widza.

Doskonale wyraził to Norwid w uwagach nad tragicznym patosem Księgi Hioba:

Nie dziesięciorga dziatwy ciała zmordowane  
Tarzają się przed widzem, gdy grom zwałił ścianę,  
Tragicznością na nerwy działając człowieka,  
Którego tępe serce może stać z daleka,  
Lecz nijakie spólcucia, lecz rady treściwe,  
Staranne upomnienia, a serca nieżywe  
Stanowią moc tragedii... cóż za wielkie dzieło?!

IV 424-25

---

<sup>31</sup> Por. jego wiersz *Auguries of innocence*, gdzie mowa o widzeniu świata „w ziarnku piasku”, a niebios „w dzikim kwiecie”, a także o nieskończoności zamkniętej „w dłoni” oraz o wieczności „w jednej godzinie”.

Na przedłużeniu tych właśnie uwag narodziła się Norwidowa poetyka „tragedii białej” (białej, nie splamionej bowiem krwią), a później, jako jej egzemplifikacja, głęboki, głębszy, niż to się na ogół myśli, *Pierścień Wielkiej Damy*, zakończony nie śmiercią bohatera, ale pozornie szczęśliwym związaniem go z kobietą płytką, zimną i właściwie „nieżywą”, co w rezultacie musi koniecznie przynieść – już po opuszczeniu kurtyny – całkowite zniszczenie, wykolejenie i zdeptanie jego wyższej, szlachetnej osobowości.<sup>32</sup>

Przemilczenie owej przyszłej a nieuchronnej katastrofy, rozumiane dotychczas – o *sancta simplicitas!* – jako... „happy end”, to tylko jeden z przykładów ostatecznie już wtedy skryształizowanej estetyki Norwida, w której m i l c z ą c y p a t o s na stale stowarzyszył się już z p a t e t y c z n y m m i l c z e n i e m, koniecznie jednak wymagając czujnej uwagi odbiorcy, łatwo mogącego zbłądzić na manowce, jeżeli utworom tego genialnego poety pożałuje chwili „zastanowienia”.

---

<sup>32</sup> Wyjaśniłem to w moim szkicu *Pierścień i zero, czyli O tragizmie „Pierścienia Wielkiej Damy”*, Program Teatru Polskiego we Wrocławiu, Scena kameralna, sezon 1965/1966 (szkic napisany w roku 1962).

## VII

...gdzie są bezmowne cierpienia,  
Są wniebogłosy... bo są przemilczenia...

Ostatnie lata Norwida, upływające mu w prawie całkowitym oddaleniu od świata, od którego oddzielały go nie tylko grube mury domu starców, ale i coraz dokuczliwsza głuchota, wyjątkowo chyba sprzyjały dalszym studiom poety nad milczeniem.

Te „studia” zresztą, które starał się podpiierać teraz i cudzym autorytetem (np. Montesquieu: „Quelquefois le silence explique plus que tous les discours”<sup>33</sup>) poczęły mu się powoli układać w dwie osobne całości literackie, o różnych formach i odmiennych założeniach, ale o identycznych tytułach.

Pierwsza taka całość miała przyjąć formę poematu w pięciu pieśniach, pomyślanego może jako swoiste dopełnienie *Assunty* (X 178 i 180); druga – formę rozprawy filozoficzno-literackiej, podejmującej niektóre pomysły *Białych kwiatów*, ale utrzymanej w ostrzejszych rygorach stylistycznych. Obie miały nosić tytuł *Milczenie*.

Poemat zaginął niestety, nic więc dokładniejszego nie można o nim powiedzieć. Rozprawa, której oszczędziły na szczęście bogobojne dłonie szarytek z rue du Chevaleret, dochowała się w szczątkach spuścizny literackiej po Norwidzie i przekazuje nam dzisiaj ostatnie myśli wielkiego poety poświęcone, u samego schyłku jego życia, temu samemu zjawisku, które dostrzegł jeszcze we wczesnej młodości i od którego pochwały zaczął swój najwcześniejszy znany dzisiaj utwór poetycki.

Pisząc *Milczenie*, a pisał je – jak się wydaje – na kilka miesięcy przed zgonem – mógł też śmiało powtórzyć własne słowa sprzed lat przeszło trzydziestu:

Ciągniemy przedzę z dala zaczepioną:  
U przekreślonych szyb żelazną kratą,  
U najeżonych bram wściekłą armatą...

I 160

To milczenie jednak, a raczej przemilczenie, które wtoczyło mu się pod pióro w końcu roku 1882, w bardzo istotny sposób różniło się od przemilczenia „warszawskiego”, chociaż i jedno, i drugie było jak najściślej związane z jego własną osobą i twórczością.

W Warszawie, gdzie nie: „pisać i drukować”, ale jedynie: „mówić mógł głosem żywym” (III 397), skazany był na milczenie przez ówczesne warunki polityczne (cenzura). Na emigracji – przez własnych rodaków: redaktorów czasopism, wydawców, recenzentów, czytelników.

W Warszawie, zmuszony do przemilczania pewnych treści i pewnych obrazów, sam wypracował pomysłową technikę w y m o w n e g o przemilczania, którą bardziej wrażliwy czytelnik mógł przy pewnym wysiłku opanować, opanowawszy zaś – rozszyfrować, czyli nadać konkretnemu przemilczeniu właściwy dla niego „wygłos”. Na emigracji, gdzie przemilczenie ogarnęło jego własną twórczość poetycką, nadaremnie rozglądał się za takim wrażliwym czytelnikiem, nie znalazłszy go zaś nawet wśród najbliższych i najzyczliwszych, postawił wreszcie na przyszłość, „Korektorke-wieczną”, i oczekiwał „wygłosu” dla swojej przymusowo umilkłej poezji dopiero po wielu latach, wśród „późnych wnuków”, gdy on sam będzie już w grobie.

---

<sup>33</sup> Montesquieu: *L'Esprit des lois*, ks. XII, rozdział „Des paroles indiscretes”.

Rozmyślenia nad różnymi postaciami owego „przemilczenia” doprowadziły Norwida po pewnym czasie do jego oryginalnego steoretyzowania, potraktował je bowiem jako nie zauważoną przez gramatyków „żywną część mowy” i wytłumaczył jako swego rodzaju ukrytą treść zdania, która stanowi naturalne zagajenie zdania następnego, ukrywającego z kolei inną treść, która zagaja następne, itd.

„Tak iż to, co drugie z porządku zdanie głosi i wypowiada – wyjaśniał poeta-myśliciel – było tylko co pierwszego zdania niewygodnym przemilczeniem, a to, co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte – w trzeciego... i tak aż do dna treści, która dopiero tym sposobem, jest rzeczywiście wyczerpana...”

Teoria była istotnie bardzo oryginalna i bardzo pociągająca, łatwo też zrozumieć, że u jej korzeni znajdowała się praktyka poetycka samego Norwida, którego utwory rzeczywiście wyjaśniały się wzajemnie i dopełniały, jeżeli odczytywało się je w takim układzie i porządku, jaki nadał im ich autor, entuzjastyczny wyznawca i wielbiciel „doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych”, a przy tym sam wytrawny, pracowity i pomysłowy „architekt” literacki.

Wykład owej teorii umieścił właśnie w swoim prozaicznym *Milczeniu*, gdzie rzucił ją na tło nadzwyczaj interesujących dywagacji odnoszących się nie tylko do „milczącej ciszy” pitagorejczyków, do starożytnych „monologistów milczenia” i do problemu „lakonizmu”, ale również do moralnej i umysłowej diagnozy, jaką można było postawić współczesnej epoce, obserwując ów kolosalny „gwar i zamęt”, który bezustannie panuje w największych metropoliach świata.

Nie tu jednak koniec Norwidowej dialektyki „przemilczania”.

Jeśli sprawdza się ona – rozumował poeta – zarówno w potocznej rozmowie, jak i w konkretnej twórczości literackiej, czemuż by nie miała się sprawdzić i w y ż e j, na przykład w kolejnych przemianach dziejowych całej literatury światowej, nie zaczynającej się przecież od książek dla dzieci, ale od utworów poważnych, „nacechowanych solennością i uczuciem wielkości”?

Rezultatem tego rodzaju przemyśleń stała się nowa Norwidowa filozofia dziejów literatury, oparta również na dialektycznym przemilczeniu i głosząca, iż „to, co było przemilczeniem całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawa się wygłosem epoki drugiej, następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi trzecia, swoje znowu dla następnego przemilczenie ze sobą wnosząc”.

Epok takich, stale się powtarzających, i towarzyszących im dogłębnych przeobrażeń dojrzał poeta pieć: l e g e n d a – e p o p e j a – h i s t o r i a – a n e g d o t a – r e w o l u c j a.

Nietrudno się domyślić, że koniec XIX w. to pogranicze czwartej i piątej epoki, czyli a n e g d o t a literacka ustępująca miejsca takiejże r e w o l u c j i.

„Tego ostatniego wyrazu – wyjaśnił Norwid – nie należy tu brać z żadną wyłączością. Tym bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.”

Wprowadziwszy tę ważną poprawkę, możemy śmiało stwierdzić, że zarówno poetyka, jak i nowatorska poezja Norwida należały już, w przekonaniu samego ich twórcy, do literatury „rewolucyjnej”, stanowiąc naturalny „wygłos” tego wszystkiego, co „przemilczała” poprzednia epoka literacka, i kładąc główny nacisk na „część moralną i obowiązkową” piśmiennictwa (IX 236), równocześnie zaś świadomie rezygnując z estetyki efektu („powab i grzmot”) na rzecz milczącego i bezbarwnego („białego”) patosu rzeczy powszednich.

Idealnym przykładem owej „rewolucyjnej” literatury miało być Norwidowe *Vademecum*, przeznaczone „na zrobienie s k r ę t u k o n i e c z n e g o w p o e z j i p o l s k i e j” (IX 377) i przynoszące piśmiennictwu narodowemu takie wartości, jakich nie wytworzyły w nim (a przynajmniej nie wytworzyły w dostatecznej ilości) dzieła trzech wielkich romantyków.

Twórczość Norwida, podobna pod tym względem do „dzieła” Słowackiego, które „było po prostu uzupełnieniem Adamowego dzieła” (VII 477), stanowiła w ten sposób konieczny wygłos treści przemilczanych jak gdyby przez Słowackiego i Krasieńskiego, ponieważ zaś znajdowała się już u progu „nowej epoki” literackiej (II 10), przypadła jej więc w udziale taka mniej więcej rola – oczywiście w zupełnie innych wymiarach – jaką w stosunku do biblijnego Eklezjasty odegrała (że posłużymy się tutaj własnymi słowami Norwida) „wielka chrześcijańska R e w o l u c j a”.

\*

W kilka miesięcy później, nad ranem 23 maja 1883 r., niestrudzony łowca i skrzętny rejestrator „ostatnich słów” bliskich sobie artystów wypowiedział, obracając się ku ścianie, pod którą stało łóżko, swoje własne ostatnie słowa (X 405):

– Przykryjcie mnie lepiej...

B i a ł y i t o k w i a t, z rozmysłem chyba rzucony społeczeństwu polskiemu, hałaśliwie wiwatującemu wtedy na cześć wielu drugorzędnych nieraz pisarzy, ale pokrywającemu ciszą głębokiego zapomnienia najgenialniejszego poetę swojej epoki.

Tym razem była to cisza długa, ale – na szczęście – laurowa...

Rozwrzaskliwe czasów przechwałki,  
Co, mniemałbyś, że są trąb graniem? –  
To padające w urnę gałki...  
Gdy cisza jest g ł o s ó w - z b i e r a n i e m.

II 100

Dzisiaj dobrze już wiemy, że olbrzymia ilość uzbieranych w tej ciszy głosów padła na Cypriana Norwidą.

Lipiec 1964

*Juliusz W. Gomulicki*



# **Menego**

**Wyjątek z pamiętnika**

Było to 1843 wiosny na R i v a d e g l i S c h i a v o n i, albo, jak jeszcze jeden nie zarty napis się wyraża, na R i v a d e g l i S l a v i; na tym długim wrębie granitowym, zielonymi poprzerywanym kanałami i białymi mostami pospajany, gdzie kilka tysięcy okrętów przystań miewa. Tam, o jutrzni we mgłach, odpływają małe statki rybackie z trójkątnymi żaglami l a t y Ń s k i m i, na których z bizancką surowością nakreślony bywa Marek święty, albo Piotr, albo Paweł, albo inny apostoł i czyni wrażenie, że zszedł z r i v y i odchodzi po falach... Tam, o południowym świetle, widzisz tajemnice kolorów V e r o n e s a, T i n t o r e t t a, T y c j a n a... Turcy, Grecy, Ormianie i Słowianie różni, w strojach różnych, z różnym się akcentem przechadzają, na okręty swe patrząc. Tam, o blasku księżyca, znikają okręty w mroku wielkim, a gdzie światło miesięczne wysrebrzyło fale, lśniący topór, u gondoli dzioba przytwierdzony, profilem zębatym się określa, potem wioślarz półnagi we frygijskiej czapce, potem budka kirem kryta z szybą kryształową, a potem znów drugi kształt wioślarza, a potem blask fali, skrzelał wiosła odepchniętej w światłość księżycową... i tak tam gondole przepływają.

Tam to w 1843 roku przechadzał się B. ze mną, o Pałacu Dożów i o sztuki w nim złożonych skarbach rozmawiając; wąpił, aby Ganimed w Jowiszowych szponach uniesiony był utworem Fidiasza, i miał słuszność... Potem, gdyśmy schodzili z ostatniego już mostu ku P i a z z e t t a, zwrócił moją uwagę na bogactwo i n w e n c j i kapitelów, które podpierają Pałac Dożów, i jeliśmy wszystkie po kolei szczegółowo oglądać... Co może być ta postać z wędniejących liści wychylona, której profil żółtawy na sklepienia ciemność tak wybiega?... albo owa w hełmie?... albo tamta, kibici wygięciem nie bez trudu wypowijająca się z kamienia... Miałżeby architekt je wykreślać, albo rzeźbiarz sam tworzył co dzień, wedle natchnienia: tam o niebie myśląc, tam o ziemi, tam o obywatelu w Rzeczypospolitej znanym, ówdzie o Adamie i Ewie, a ówdzie o patronie swoim i żony swojej, lub o wielkim kupcu, co przyjechał z dalekiego Wschodu na okręcie pełnym drzewa wonnego i drzewa farbiarskiego, i drogich kamieni na pieczęcie dla senatu Rzeczypospolitej, i zielonych papug dla panienek...

– Ja też to podobnie bym rozumiał – B. mi na to odpowie – zwłaszcza iż dawniejsi architekci nie kreślili tak planów s z c z e g ó ł o w y c h; czego przykład widzimy w ziarnkach planów rzymskich w Kapitolu, powmurowywanych dzisiaj w ścianę. Te plany są prostsze od najprostszych figur geometrycznych.

– Tę nieumiejętność – odpowiedziałem na to – usprawiedliwia poniekąd Panteon, Kolo-seum, Fortuna Yirilis, Vesta, Świątynia Pokoju itd. .

B. uśmiechnął się smutnie.

I mówiłem dalej:

– Gdyby kiedyś znaleziono te plany pokolorowane elegancko, których dzisiaj pełno na wystawach, trzeba by stu nowych Witruwiuszów i sto razy śmielszych w przypuszczaniu, ażeby współczesnym dać pojęcie, jakich to pomników śladu nawet nie zostało na ziemi! Tylko, widzisz, nic tu nie zginęło, co p r a w d z i w i e p i ę k n e, bo to ma w sobie nieśmiertelności iskrę, miłość! Trzeba gmachu p i ę k n e g o, ażeby mógł piękną być ruiną. Trzeba pięknej ruiny, ażeby dotrwała aż do końca, aż do posad budowy i pierwszego planu rozłożenia, aż do głazu pierwszego, na którym legendy siadać będą w ciężkich wieńcach bluszczowych, aż do głębi pod głazem, gdzie medale stare w wazach leżą i pargamin żółty z opisaniem pierwotnego pomysłu! *Roma, quanta fuit, ipsa ruina docet.*

– Więc nic, myślisz, nie ginie?

– Nic, co jest w miłości poczętego.

B. uśmiechnął się znowu. Tu wchodziliśmy na plac, a był zmierzch, i dokoła pod obiegającym czworobok placu korytarzem zaczynało być gwarno, i porozświecały się kawiarnie, i czekano muzyki przez wojskową kapelę, z Czechów zwykle złożoną, wykonywanej tu w wie-

czór. B. mi wskazał kawiarnię, do której zachodzić już przywyknął, jakby Wenecjaninem się urodził. Tam weszliśmy. Kilka było osób, bo kawiarnia podrzędna. Grek w kaftanie czerwonym i Żyd, zda się, wschodni, w szachy grali; Wenecjanin list pisał...

– Ten chłopiec zna mnie, przyjdzie zaraz, nazywa się Dominik – i tu zawołał B.: „M e n e g o!” (co w weneckim skrótce ma niby oznaczać D o m e n i c o).

Przyniesiono nam kawy i złych cygar weneckich.

B. miał około lat sześćdziesiąt. Był naprzód w drezdeńskiej akademii, gdzie z niewielkim geniuszem, lecz z miłością sztuki szczególniejszą, wielkie zrobił postępy w stosunku do tego, co mógł zrobić i co mu okoliczności pozwalały. Tam wykonał on obraz przedstawiający C z a r y starożytnych germańskich wieszczek, i rysunków wiele różnej treści. Potem w Monachium pracował; wszędzie z trudem wielkim, i po dziesiątku lat, i w walce z przeciwnościami zabójczymi... Wszędzie, co artystów naszych w a d a, albo raczej w i n a, wszędzie łatwo miejscowym tradycjom się poddawał, z posłuszeństwem słowiańskim szkole każdej. Był to wzór cierpliwości, zaparcia się, pokory – w y k o n y w a n e j sprawiedliwej aniżeli p o j ę t e j. Właśnie o tym myślałem, kiedy mi B. przerwał.

– To rzecz dziwna! nie mogę tu jeszcze dojść ładu z wyrozumieniem tych arcydzieł starej szkoły weneckiej. Zanedbanie rysunku, którego by C o r n e l i u s nie przebaczył, dowolność w grze światła szczególniejsza, kompozycja jakby z ulic brana, a jednakże wielkie to są rzeczy! i niejednym C o r n e l i u s, ba! i zarzuciły sam K a u l b a c h uczyć by się z tego dobrze mogli. Kto wie? – dodał w następstwie – może nas na Północy uczą jakoś inaczej. Przypominam sobie, że w kościele świętego Ludwika (w Monachium), kiedy *Sąd ostateczny* przy Corneliusie malowałem, i właśnie się grupę tę robiło, gdzie wyobrażenie jest Heroda (gdy wyrżnięte dzieci proszą za nim), imperator moskiewski otoczony świtą wszedł do gmachu, bo podówczas bawił w mieście onym i oglądał czasem dzieła sztuki. Więc nam wszystkim potem myśl przebiegła o tych starych malarzach, co to prosto z życia wzory brali, i co to się zwykle o tym czyta jakby jakie legendy... A teraz tu widzę, że podobno wszystkie stare obrazy to tak są o życie zaczepione...

– I nad czymże pracujesz pod te czasy?

– Ba! – pomruknął B. smutno – gram ot, czasem na skrzypcach... i przyjdź kiedy, zagram ci wieczorem... zdaje mi się, że coś skomponowałem.

Jakoż rzeczywiście B. na skrzypcach grał z biegłością szczególną.

– Albo nie – przerwał nagle – bo nie sam tu jestem. Mnie tu państwo Hr[abiostwo] do Włoch zabrali. Zacząłem też także mały obraz, gdzie rybaka chcę zrobić z dziećmi swymi, i chcę, żeby był wieczór, i żeby było widać, iż pracował dzień cały, i chcę, aby rybak w ręku trzymał ułowioną rzecz jedną... muszlę pustą! I chcę, aby z tą muszlą, wyciągając rękę, zebrał sobie. Taki obraz robię, i już bliski, bliski swego skończenia.

Tu się B. z krzesła podniósł i zawołał: „M e n e g o” – ale że nie weneckim iloczasem, lecz po polsku m e-n e g o przedłużając, więc podchwycił chłopiec: „Jak to, panie? jak to, t o p i s z s i ę, panie... (bo *me nego* – «topię się», w weneckim znaczy dialekcie), jak to? – jeszcze powtórzył, a wszakże dziś gondole po kościele świętego Marka nie pływały i suchutko w kawiarni.”

– *Buffone* – odrzekł B. – *buffone!* – i wyszliśmy z kawiarni...

\*

\* \*

Na drugi dzień wieczorem taki list mi z miasta przyniesiono:

Państwo Hrab. zamiary odmienili; wkrótce mamy wyjeżdżać, jutro może wieczorem; nie wiem pewno, ale może być jutro. W s z y s t k o też już zwiedziłem (!) prócz tej wyspy długiej od południa, którą to tak z okna Twego widać, i o której to mówisz, że tam lord Byron

konno jeżdżąc opisywał Mazepę, bo nie wiem, jak wyspa się nazywa. Jeśli czasu mi zbędzie, to gondolką sobie tam dopłynę. Chciałbym też Cię pożegnać, wstąpię może; a nie, to na wyspę często robisz wycieczki: czemu nie miałbyś jutro, niżli słońce zapiecze, tam popłynąć? Żegnam...

B y c z k o w s k i

NB. Pakując się chustkę też znalazłem, którą w pierwszych czasach emigracji w Dreźnie wielki nasz lord Byron mi darował. To jest jedno, co mogę na pamiątkę zostawić. Żałuję, że nie grał Ci na skrzypcach...

\*  
\*       \*

Niżli słońce zapiekło, popłynąłem na L i d o dnia wtórego. Lido jest to długie pasmo ziemi, o które się płasko z jednej strony pełne morze rozbija; z drugiej, sztuczne wybrzeże z ciosanego kamienia odpiera mniej silne fale l a g u n. Ażeby do brzegu dojść morskiego, a zwłaszcza tam, gdzie zwykle cudzoziemcy oglądać widok idą, trzeba pierwiej przez łąkę przejść zieloną, która, kiedyś smętarzem możnych kupców żydowskich za Rzeczypospolitej jeszcze będąc, do dziś świeci gdzieniegdzie pozacieranymi kamieniami. Po nich ścieżka się łamie, albo je wymija, w trawie naprzód, a potem w nadmorskim żwirze ginąc. Tam doszedłszy, spotkałem gondoliera; stał nad garstką bielizny; przy nim sługa z policji i dwie damy Angielki z albumami.

B., zapłaciwszy gondoliera, powiedział mu, że użyć chce kąpieli... a l e z a g ł ę b o k o w f a l e z a s z e d ł.

Grób jego jest na Lido.

## **Czarne kwiaty**

Można by ciekawie w tym względzie rzeczy tu zapisać, ale zaraz wstręt cofa pióro i przychodzi na myśl zapytanie, „c z y w a r t o?!...” Przy pojęciach albowiem współczesnych o czytelnictwie i o twórczości piśmiennej zatracone jest prawie uczucie, k i e d y p i s a r z s t a r a s i ę u n i k n ą ć s t y l u przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej a z siebie samej zupełnej i zajmującej, k i e d y z a ś, p r z e c i w n i e, n i e d o p r a c o w a w s z y f o r m y, s t y l z a n i e d b u j e... Kiedy chodzi po ziemi, okazując, jak nisko zstąpić potrafił? – kiedy zaś również nisko stąpa, przeto iż wznieść się wyżej nie mógł? Te rozróżnić od cienia, tak dla pewnych osób jednoznaczące, rzadki bardzo czytelnik dziś potrafi, i dlatego niebezpiecznie jest w jakąkolwiek nową drogę na cal jeden postąpić, i dlatego najbezpieczniej jest w kółko jedne i te same m o t y w a i f o r m y proporcjonować tylko, nic nie wznowiwszy ani dodawszy, ani na nic się nie odważywszy.

Są wszelako w księdze ż y w o t a i w i e d z y ustępy takie, dla których formuł stylu nie ma, i to właśnie sztuka jest niemała oddać je i zbliżyć takimi, jakimi są. Mają one pozostać zamkniętymi osobistymi nabytkami przez obawę rubasznego krytyka, przywykłego do dwóch tylko formuł na wszelki płód wyciętych, jako obowiązujące malarzy pokojowych wycięte patrony...

Pierwszą z tych formuł jest jakiś książkowy klasycyzm, o którym Grek Peryklejski ani Rzymianin za Caesara czasów bynajmniej nie wiedział; drugą – pewne formuły czasowe dziennikarskie, to jest proste techniczne wypadki z rozwinięcia druku samego powstałe. Jedna z tych ram wszystko objąć jest w stanie mniej łącznością pomiędzy książką a żywotem, druga – wszystko mniej istotą źródeł, z których ono wszystko płynie.

Stąd to: niezawodnie snadniej dziś upowszechni się u d a n y p a m i ę t n i k ś r e d n i o w i e c z n y, niż fakt społeczny, sumienie obowiązujący, należny mu wpływ wywrze i należną zachowa powagę. Jakoż – czytelnicy podobni są w tym do osoby oddalonej od przyjaciela swego, a mającej wizerunek jego na pamiętkę, która, gdy on przyjaciel z drogi wraca, „Nie przeszkadzajże mi”, rzecze jemu, „bowiem oto godzina jest, w której na portret patrzeć zwykłam, listy właśnie że pisać mając”.

\*

...To – pamiętam, jednego razu w Rzymie z katakomb powracałem, gdzie często patrzeć lubiłem na pozostałe freski pierwo-chrześcijańskie – rzecz, o której tu napoczytać nie chcę, bo to byłaby historia bardzo długa, o każdym znaku i o każdej linii w tych rysunkach używanej – ale tyle tylko oto wspomnę, iż to ogromne podziemne miasto z napisami i rysunkami swymi okazało mi, jako przez całe akta dramatu tego seraficznie-krwawego nie była prawie jedna kropelka krwi wylana bez uszanowania jej i omodlenia braterskiego współwyznawców. Te szkła, dziś błękitno-krzemiennej barwy, które jako ampułki rozbite (albo i całe) w katakombowych sarkofagach; do półek biblioteki podobnych, tu i owdzie leżą, błogie robią wrażenie, świadcząc, jako zbierano rozprysniętą po ścianach katowni i schodach gmachów publicznych krew męczeńską. Tak ją szafowano szeroko i wspaniale, jako owczarni krew bogaty pan szafować może – a tak skąpi jej byli!!

.....

...To około tego czasu spotkałem był zstępującego ze Schodów Hiszpańskich, pochylonego jako starca i kijem pomagającego chodowi swemu Stefana Witwickiego: śliczna, młodości jakiejś wiecznej pełna twarz jego i włosy, jak z hebanu mistrzowsko wyrzeźbane ornamentacje, w grubych partiach na ramiona spływające, szczególnie wyglądały przy tym sposobie wle-

czenia się o kiju, bardzo zgrzybiałym starcom jedynie właściwym. Niedługo potem odwiedziłem go był w mieszkaniu jego, ale już to zaszło przed śmiercią jego na jaki tydzień. Leżał ubrany jak zwykle na kanapie, męczyło go mówienie, spoglądał tym samym wzrokiem, niezwykłą zawsze jasność i zarazem kroplę łzy mającym w sobie – tudzież podnosił się niekiedy, podając rękę komu, aby go przeprowadził po pokoju. Tak to spojrzawszy ku mnie wchodzącemu doń, przywitał mnie, a wyciągnawszy rękę posunął mi po ziemi leżącą przy kanapie pomarańczę, którą (że zwyczaj miał mnie i Gabrielowi Rożnieckiemu<sup>34</sup>, jak mu się co w pracach naszych podobało, przynosić cygara i fraszki jakie) uprzejmie przyjąłem i podniosłem. Gabriel właśnie że był tam, bo on do ostatniej chwili całe noce przy ś.p. Stefanie, już zupełnie zdefigurowanym ospą, siadywał, usługi wszelkie mu oddając. Otóż Stefan Witwicki dał zrozumieć Gabrielowi, że chce z kanapy wstać, a ten mu rękę podał i zaczęli wkoło pokoju powoli obchodzić... Tak to wlokąc się, po pierwszy raz Witwicki wpadł w lekki, bardzo błogi, ale widzialny obłęd – i zaczął tu i owdzie wskazywać ręką i zatrzymywać się:

– ...A to (mówił) c o t o z a k w i a t j e s t ? ... t e n k w i a t , p r o s z ę c i ę (a nie było kwiatów w mieszkaniu), j a k t o s i ę n a z y w a t e n k w i a t u n a s ? ... t o t e g o p e ł n o j e s t w P o l s c e ... i t e k w i a t y ... i t a m t e t a k ż e k w i a t y ... t o j a k o ś u n a s z w y c z a j n i e n a z y w a j ą ...

Potem – już odwiedzałem Witwickiego, kiedy leżał zdefigurowany panującą podówczas ospą i już nic nie mógł mówić. Niewiele przed śmiercią Witwickiego umarł generał Klicki, całe dnie i noce otaczany nieledwie zbiorem wszystkich Polek i Polaków podówczas tam bawiących, co wspomnienie zostawia równo szacowne i rzadkie.

Ile razy przypominam sobie ostatnie rozmowy z osobami, co już w niewidzialny świat odeszły, zmarłszy tu, tyle razy nie wiem, jak pominąć to, co ze zbioru razem wspomnień tych samo czasem zdaje się określać, i dlatego właśnie w d a g u e r o t y p raczej pióro zamieniam, aby wierności nie uchybić – inaczej przyszyłoby mi bowiem zacytować słowa jedyne Voltaire'a, jakie kiedykolwiek na myśl mi przychodziły lub przychodziły z autora tego, a te są:

Je tremble!... car ce que je vais dire  
Ressemble à un système.

(V o l t a i r e)

Może też to najfilozoficzniejszy filozofa tego apoftegmat.

\*

To – później – później – w Paryżu, F r y d e r y k C h o p i n mieszkał przy ulicy Chailot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze, mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kupolę, i cały Paryż... jedyne punkty, z którego napotyka się widoki c o k o l w i e k z b l i ż o n e do tych, które w Rzymie napotykasz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinny – do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne – ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bulońskiego Lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł.

---

<sup>34</sup> Mowa jest o Gabrielu Rożnieckim, muzyku. C. N.

Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem po wielokroć, i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem – służąca Francuzka powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem.

Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc: iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mię – że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mię chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z nabrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej – albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuskich, które lubo nic są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę niepodobne, geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasyczyć... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem...

Owóz – przerywanym głosem, dla kaszlu i dławienia, wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem – potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem – potem z siostrą jego mówiłem – potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc zęgnąłem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...W y n o s z ę s i ę!...” – i począł kasłać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „...W y n o s i s z s i ę t a k c o r o k... a p r z e c i e ż, c h w a ł a B o g u, o g ł ą d a m y c i ę p r z y ż y c i u.”

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa, rzekł: „M ó w i ę c i, ż e w y n o s z ę s i ę z m i e s z k a n i a t e g o n a p l a c V e n d ô m e...”

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Yendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...

\*

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Ponthieu przy Elizejskich Polach, do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał go, jak się M o n s i e u r J u l e s ma?... Tam na najwyższym piętrze pokoik był, ile można najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tym jednym tylko upiękkszoną, iż czerwone słońca zachody w szyby były łunami swymi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami tymi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokoik – to sypialnia.

Było to więc jakoś około piątej godziny po południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój, z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarżane *paleto* i w amarantową spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzu-



coną. I mówiliśmy tak o Rzymie, skąd właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża – o niektórych znajomych i przyjaciółach – o bracie mym Ludwiku, którego ś.p. Juliusz rzewnie kochał – o *Nieboskiej komedii*, którą wysoko bardzo cenił – o *Przedświcie*, który miał za piękne dzieciństwo... Także o sztuce, że wpadła w mechanizm – także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juliusz pokaszując rzekł mi: „P a r ę m i e s i ę c y t e m u s p o t k a ł e m j e s z c z e t e g o m o r y b u n d a...” – sam wszelako pierwej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juliusz mawiał: „zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym” – do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem wszedłem był, a Juliusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim pałac, jak to używa się w Polsce na wsi; na kanapie siedział malarz Francuz (którego Juliusz potem egzekutorem testamentu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalnym, i siedział. Nad kominkiem wisiał brązowy medal Juliusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francji, o rewolucji, o rzymskich wypadkach mówiliśmy; on – naturalnym, ale kolorowanym słowem, i niespodziewanymi obrotami mowy, i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w *Marii* Malczewskiego napotykanym przypominającym. Co wszelako nie zawsze z wielkimi jego, czarnymi, ognia pełnymi oczyma, i z orientálną skronią, i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się... Pod koniec rozmowy mówił mi: „Piersi, piersi nadwężone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi.”

Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i owdzie powoli poruszającym jak wahadło zegaru ściennego.

W następującym tygodniu pośpieszyłem znowu zająć do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (można by rzec: z u c z n i ó w jego), który odeń powracał, a było już ciemno – i ten powiedział mi: „Jutro lepiej zajdź do Juliusza, bo dziś właśnie dlatego wyszedłem od niego, iż nieswój jest...” – „Jakże się ma?” – pytałem. – „Nie wiem – odpowiedział mi – ale tyle ci tylko i powiem, iż, wedle słów Juliusza, bardzo wątpi o zdrowiu swym i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki ś. Michała Archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy.” Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem, że Słowacki bardzo religijny był), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było i było to tak, że wszedłszy pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzony (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonania, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielegnowane doniczki z kwiatami – krzątało się około pogrzebu, a pogrzeb ten, jaki był, to różni różnie opisali. Ja – na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem d w i e – jedna z tych rzewnymi łzami zalana była, co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającym na wiele dni potem, kiedy liczne podówczas społeczeństwo polskie w Paryżu bawiące się odwiedziłem był – bo wiele było (jak zawsze świętnych i niepospolitych) Polek podówczas w Paryżu...

Mam rysunek Juliusza, który on w Egipcie rysował z natury, bo pejzaże zwłaszcza rysował wcale dobrze, ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albumu osoby z kraju przybyłej ofiarowałem, drugą zostawując sobie – aby sprawdziły się słowa w *Beniowskim* napisane, iż „p r a w ą r ę k a w i c z k ę t w ą z a w i e s z ą w m u z e u m j a k i m, a o s t r a c o n ą l e w ą b ę d ą s k a r g i!...” – ironia bowiem, taka nadobnie-bez -zjadliwa

jako ironia Juliusza pośmiertnym bynajmniej wspomnieniom nie zawadza. Owszem, brzmi ona podobnie tym słowom, które Filip Macedoński przy budzeniu się powtarzać sobie kazał: „K r ó l u ! s ł o ņ c e j u ż w s c h o d z i , p o m n i j p r z e z c a ł y d z i e ń , ż e ś m i e r t e l n i k i e m j e s t e ś .”

\*

To zaś – przypomina mi zupełnie odrębną rzecz o osobie bynajmniej sławnej, bynajmniej zasłużonej talentem, pracą lub cierpieniem – o osobie, której nazwiska nawet nie wiem, a narodowość wątpliwie wiem... Dołączę tu więc wspomnienie o s o b y ś m i e r t e l n e j , nie znanej mi, niemniej ściśle wierne, z natury wzięte – czynię to zaś tym swobodniej, iż na wstępie zastrzegłem, co o krytyce, krytykach i stylu książkowym trzymam i tuszę w treści, jako niniejsza, w której za cały interes właśnie uważam ścisłą tylko wiarogodność sprawozdania.

Otóż – było to w parę lat po śmierci powyżej zapisanej – nie byłem w Paryżu – nie byłem we Francji ani w Londynie, ani w Anglii, ani w Europie, ani w Ameryce... byłem, na kotwicy, na pierwszym wstępnym pasie Oceanu Atlantyckiego, pomiędzy wyspami kredowej białości, połamanymi w ściany prostopadłe.

N i e d z i e l a była: słońce na niebiosach bez chmur, niżej ciemnoatramentowosafirowe ogromne fale, ale cisza taka, że żagiel żaden nie drgnął, sznur żaden niedbale spuszczonej nie poruszył się... Nie widziałem jeszcze wszystkich osób ekwipaż składających, a wszystkie dla słońca pięknego na pokład wychodziły właśnie; siedziałem na ławce pod masztem wielkim, przy mnie nowy znajomy, świątły młodzieniec jakiś, z rodu Izraelita, z którym często mawiałem. Płynąć nie można było dla zupełnego braku wiatru, i kiedy się dalej popłynę, zgadnąć nie można było...

Kiedy tak siedziałem, nieskończoną przestrzeń fal przed oczyma mając, przewiała przed nami suknia kobieca, a obok mnie siedzący współpodróżnik rzecze mi po francusku: „...Patrz pan, który jesteś artystą, jaka piękna kobieta właśnie przeszła, biednemu pieskowi w tę wielką podróż zabranemu mleka na talerzu wynosząc w dzień, w który wszyscy cieszyli się pogodą i niedzielą, a to szczenię biedne ani wiedziało, gdzie i na jak długo zaniepodziało się”.

Że nie spojrzałem, jak mi towarzysz radził, odpowiedziałem mu więc, jak to się mówi, kiedy o czym innym właśnie myślisz: „Właśnie że dlatego teraz nie pójdę jej oczyma szukać, kobiety bowiem najpiękniejsze są wtedy, kiedy nie słyszą ani widzą, ani zgadują, że się spogląda na nie – będę więc u w a ż a ł j a i n n y m r a z e m – i n n e g o r a z u z o b a c z e j a . . . ” – co powtórzyłem jeszcze z przyciskiem, aby odmienić tok rozmowy.

Ale że to była dziwnie piękna osoba (podobno Irlandka), to przecież i tak, kiedy przesunęła się, spostrzec można było, boć ze stereoskopów już wyraźnie dziś wiemy, ile to człowiek obejmuje wzrokiem mimowolnie, choćby i nie patrzył się wprost na przedmiot. Słońce potem zaszło, wiatru nie było – i księżyc wzeszedł, i podniosłem się, i zasnąłem w kajucie ciasnej, dusznej... i straż tylko po pomoście okrętu trzymasztowego przechadzała się... Krzyk jakiś rozległ się w nocy – jacyś ludzie przybiegli z latarkami – wielki Murzyn, służący główny okrętowy, tu i tam przewinał się po schodach, doktora szukając...

O świcie ruch był jakiś niezwykły na okręcie – wstałem i wyszedłem na pokład. Ta osoba młoda i piękna, którą obiecałem był innym razem uważać i widzieć, nagle umarła w nocy. Zwyczaj jest, że w takim razie przeznaczonym na to czarnosafirowym żaglem, w wielkie białe gwiazdy obrzuconym, przykrywają to miejsce, gdzie zwłoki leżą – taka plama czerniła na środku pokładu o wschodzie słońca...

Tu przychodzi mi na myśl, czy poezję tę, co prawdy rylcem ściślej sama się w żywotach zapisuje, w a r t o j e s t dla cynicznego czytelnictwa dzisiejszego piórem z niepamięci wywodzić i określać... Romans jaki, fantastycznie skłamany po zażyciu indyjskiego h a c z y s z , przyjemniejsze i pożądańsze wrażenie zrobi!!...

.....

Później – później – kiedy do Europy powróciłem, Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastylli, w gmachu Biblioteki Arsenалу, gdzie i bibliotekarzem był. Miejsce to przepowiedziany przez niego człowiek: z dynastii Wielkiego Napoleona (dzisiejszy Imperator francuski), ofiarował świętej i wiekopomnej pamięci Adamowi Mickiewiczowi – miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla rodziny licznej poety przynoszące – a ofiarowane mu, zdaje się, dobrze już po tym, kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor Kolegium Francuskiego Adam Mickiewicz i małowiczni inni odmówili przysięgi na wierność Imperatorowi francuskiemu. Około to późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy

B i b l i o t e k  
a r z d o I m p e r a t o r a

napisał też Horacjusza językiem O d e , nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to – krótko przed misją na Wschód, na jaką z bibliotekarstwa udał się był pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu Biblioteki Arsenалу, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennymi wschodami – było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę z sobą miałem. A szedłem go przywitać więcej niż kiedykolwiek serdecznie, bo b l i ż e j... bliżej zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że w s p o m i n a ł m i e , kiedy w Ameryce zostawałem – a kiedy tam odpłynąłem, powiedział tylko komuś: „...T o o n t a k j a k b y n a P è r e L a c h a i s e p o j e c h a ł !...” – co, że zrozumiałem, było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie, i dlatego też przyjemnie szedłem przywitać go.

Wesoło spojrzął na mnie i uścisnął, i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy myślałem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu pan Adam poprawiał nieco węgle kijem. Ubrany był pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowym sukniem powleczone, które skąd w Paryżu można było dostać tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe – bowiem: była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych. W pokoiku wisiała piękna rycina, przedstawiająca ś. Michała Archaniola podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie – czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest, tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Dominikina oryginalny rysunek, komunię ś-go Hieronima przedstawiający – jeszcze także rycinka mała z Napoleona I-go przed generalstwem jego portretowana, a pod nią daguerotyp mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym, jak chodzą francuskie inwalidy, a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków ostatniej wojny... Na biurku zaś, o d c z a s u n i e d a w n e g o d o p i e r o w i d z i a l n e u pana Adama, dwa niedźwiedzie pasujące się – odlew z gipsu.

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak że drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań – wrócił więc na jakie półtorej godziny jeszcze, przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał być gdzieś iść jeszcze one półtorej godziny pierwej.

Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc: że nieświadomość p r a w d y tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy śmierci dotyczących... aż kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzie indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi: „N o... a d i e u !”

Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie żegnał mię był, a tyle-ć razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta i, na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo: „...Adieu!”

Przypadek zrządził, że nie mogłem widzieć odtąd pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał – słowem, że to ostatnie było one dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co aby jaśniejszym było, dodać trzeba, że nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nie tylko, c o m a w i a ł, ale i: j a k m a w i a ł, zatrzymywało się w pamięci...

Przy ulicy T o u r d e s D a m e s na wzgórzu jest dom, do którego dopiero wszedłszy, rozkład schodów i fragmenta z g l i n y p o l e w a n e j c z t e r n a s t o w i e c z n e, f l o r e n c k i e, okazują, iż poważnego artysty to mieszkanie... Tam gdy niedawno wszedłem był – a potem na najwyższe piętro do atelier p. Delaroche’a, wielki artysta raczył mi pokazać ostatni obraz swój, właśnie że skończony. Była to rzecz wielkości dużego p ó ł - a r k u s z a, malowana na drzewie.

W zaułku jerozolimskim dawało się więcej c z u ć, niż w i d z i e ć przez podobną do okna szczelinę, iż człowiek, którego zwano Mistrzem, Rabbim, Mesjaszem, królem i prorokiem, i uzdrawiającym, pewnym lekarzem, a który był Chrystus, syn Boga żywego, właśnie że jest wzięty przez strażę i prowadzony od urzędu do urzędu, a może właśnie na Górę Trupich Główn. Piotr Święty, najbliżej okna owego stojąc, porywa się jak człowiek szabli szukający, a Jan Święty, na piersiach kładąc mu ręce swe, uspokaja księcia apostoła i sam zaś, przezeń czuwając, w okno patrzy.

Ta grupa jest przy ścianie okna – po niej ustęp, jak w *Stabat Mater* ustępy strof – dalej. klęczy Matka Najświętsza, jak się klęczy przed ołtarzem w kościele, kiedy jest wystawienie Najświętszego Sakramentu – za nią ustęp znowu – i grupa świętych niewiast w katakumbowej jakiejś architektury cieniach... Oto Obraz cały z męki Pańskiej, w którym osoby Zbawiciela w i d o c z n e j n i e m a, ale jest ona tylko w g a m i e - w y r a z ó w - t w a r z y osób, mękę Pańską widzących, wyrażona.

Wielce uradowany, iż jest przecie na świecie artysta... patrzyłem na ten maleńki obrazek, a że ś.p. Delaroche (tak jak, bywało kiedyś, A r y - S c h e f t e r) raczył mi pozwalać, abym, oglądając utwory jego, mówił wszystko, co mi się zdaje, ja zaś, na tym już stopniu stojącym artystom, nie mniemam, aby inaczej się mówiło, długo więc myślenie moje określałem w słowach ściśle wiernych.

I skończyłem na tym – że sędzę, iż obraz taki następstwa swoje mieć powinien i że sam jeden oderwanie wzięty niepełną jest rzeczą – na co mi p. Delaroche odpowie: „Trzy właśnie takie robić chcę, aby to sformowało t r y l o g i e...” Potem pokazał mi jeszcze portret T h i e r s a, wyborny pod wszelkim względem, i znów do małego obrazka powróciwszy, rzekł mi tonem żegnalnym (bo właśnie ktoś nadchodził jeszcze): „Tak, trzy dopiero obrazy tego rodzaju razem wzięte okażą całość...” – i parę kroków ku drzwiom ze mną robiąc, po dwakroć dodał: „S k o r o t y l k o d w a i n n e o b r a z k i z r o b i e... p o k a ż e j e p a n u – p o k a ż e j e”, co zwykł był określać dobitnie, bo nie eksponował publicznie dzieł swoich ani nie każdemu je pokazywał, zwłaszcza od niejakiego czasu...

Odtąd nie widziałem już pana Delaroche’a, w którego śmierci ostatni promyczek L e o n a r d a d a V i n c i mrokiem się okrył...

Dowadywałem się, czy dwa inne obrazki zaczęte były przed śmiercią wielkiego artysty, ale nie... może w szkicach...

\*

Rzeczy tu opisane C z a r n y m i K w i a t a m i zwę: wierne są jak podpisy świadków, którzy, pisać nie umiając, znakami krzyża niekształtnie nakreślonego podpisują się; kiedyś!... w literaturze, którą może z o b a c z e i n n y m r a z e m... pisma takie nie będą dziwnie wyglądały dla szukających powiastek czytelników.

Są bowiem powieści i romanse, i dramy, i tragedie w świecie niepisanym i Nieliterackim, o których się naszym literatom a n i ś n i ł o, ale – te określać – czy warto?... już?.

1856 r.

## **Białe kwiaty**

Na pewno tego nie pamiętam, gdzie widziałem płaskorzeźb wyobrażający wychodzącego z Świątyni Zachariasza, a nie mogącego otaczającym mówić, iż zaniemiał do czasu narodzenia się Jana ś. Chrzciela, syna jego; zdaje mi się, że to we Florencji, na tych brązowych bramach Chrzcielnicy ś. Jana, o których Michał Anioł Buonarroto rzekł był, iż oczekującymi raju na ziemi bramami są, które przenieść jeszcze, gdzie raj jest, zaniechano.

Za pewne jednak uważam, iż tak trudnej rzeczy, jaką jest r z e ż b a - c h r z e ś c i j a n ś k a, to niewątpliwie najpiękniejszy może przedmiot. Starzec niemy jest – cisza wielka wokoło – wszystkie osoby słuchają i pytają razem, i odpowiadają razem... milcząc...

Otóż – w jednej nieskończenie ważnej kwestii estetycznej pod obecne czasy, u nas i na świecie, w kwestii, dlaczego (sumiennie rzecz biorąc) n i e m a n i g d z i e p r a w d z i w e g o d r a m a t u, przyszedł mi na pamięć ze względu na sztukę, mówię, ów płaskorzeźb florencki.

Kto się nie zgorszy prostotą szczerzej prawdy, ten zgadnie łatwo bardzo, dlaczego w literaturze naszej d r a m a t u b y ć n i e m o ż e... Ale dlaczego w żadnej innej dziś go nie ma?

No to (doprawdy, że bawi mię, iż ja jeden) śmiem i odpowiedzieć, t e k w i a t y b i a ł e zapisując, aby Francuz z czasem i inny obcy literat przełożył sobie na język swój wiadomość, skąd ta u nich nieobecność p r a w d z i w e g o - d r a m a t u powstała.

U nas bowiem to z przyczyny niezmiernie prostej, czyli iż literatura nasza nie określiła jeszcze ani jednego skończonego typu kobiety, a jakoż bez kobiety dramat być ma?

Nawet sama Maria Malczewskiego to tylko krzyk jeden kobiety, która k o c h a n k ą nie śmiała być jeszcze, ż o n ą nie miała i nie mogła. Aldona jest to wieża śpiewająca – Grażyna w hełmie swym zamkniętym nic a nic już nie mówi nawet... Inne zaś innych kobiety są tylko przegrywkami w antraktach opery p o z a i c h u d z i a ł e m dziejącej się. Najjaśniej przeto widać przyczynę estetyczną nieobecności pełnego dramatu u nas, lubo najniejaśniej mistyczne i realne, to jest społeczne, wyjątkowego zjawiska tego źródło i zupełną naturę jego, tak dalece, iż skrętnie bardzo skracam to.

Ależ – u dzisiejszych pisarzy innego narodu, gdzie ze wszech miar szeroko każdy romansista najmniej sławny na wszelaki możebny i niemożebny sposób p r z e d m i o t t e n traktuje i uprawia!!!... czemu? – mówię – tam, serio uważając, pełnej dramy nie ma, tego, ile wiem, nikt dotąd niezbitnie nie okazał...

Ja też nie dowiodę bynajmniej po akademicku, bo tu wcale nie myślę o tym, tak dalece, iż wynikiem tylko jest prawie bezwłasnowolnym ta o nieobecności dramatu u cudzoziemców i przyczynie jej głównej uwaga. Powiem jednak pokrótce, dlaczego to jest tak, z powodu iż odpowiedź na to krytyczne zapytanie posłuży mi do toku głównej rzeczy w tych kilku kartkach zawartej.

D r a m y prawdziwej nie może być, ilekroć się zatraci pojęcie dramatyczne c i s z y i pojęcia jej natur – czyli, j a ś n i e j tłumacząc, albo raczej s z e r z e j tłumacząc założenie powyższe: kiedy się zatraci *basso* w muzyce, a kolor biały na palecie malarza, a pion w rysunku; cóż zupełnego tak niezupełne środki otrzymać są w stanie? Nadanie stanowczego kierunku i stopnia c i s z y w dramatyzowaniu jest dla dzieła tej natury tym, czym w obrotcie planety niedotkliwa i niewidzialna planety o ś.

Kto ma uszy ku wysłuchaniu prawdy, ten niech całość jej wysłucha. Ja, że za wstęp jedynie użyłem jej tu do prostego spisu kilku wrażeń, wspomnę tylko, dla korzystać chcącego innostronnie z wzmianki powyższej czytelnika, iż nie wiem, który by dziś autor, bez potknięcia się w śmieszność, potrafił dociągnąć tam aż dramy pochod, gdzie Calderon zamyka swój i wychodzi już sam na scenę mówiąc:

„Dalej – pisarz dramatu podnieść się nie będąc w stanie... skończył.”

U Szyllera bezmowne zupełnie chwile dramy może najwyższymi są poetycznymi jego polotami. Zdaje się, że to nie inąd, ale t ę d y d r a m a w r z e ż b ę p r z e c h o d z i – co zazwyczaj w tańcu raczej poszukiwano, akrobatyzując przeto monumentalną rzeźbiarstwa powagę. Jakież barbarzyński błąd tych systematyzujących tak estetyków!...

. . . . .

Gdzież by N i o b e podzielała swoją twarz, gdyby rzeźbiarstwo przez sam taniec z dramą ożenione było?...

Albo – zapytanie rubaszne i beztreściwe, nic nie opiewające jako myśl, zapytanie Hamleta patrzącego, gdy aktor łzy wylewa, zapytanie to: „...C o j e m u d o H e k u b y?...” – byłoby tak wysokie w prozie jego?...

\*

Jakoż – słysząc dopiero natury c i c h o ś c i rozmaitych, przychodzi się potem do usłyszenia dramy i głębokości wyrazów bezmyślnych, bezkolorowych, b i a ł y c h (że tak je nazwę), i to zda się być wątkiem wszelkiego dramatyzowania prawdziwego.

Tędy idąc – doszedłbym jeszcze do daleko ważniejszej rzeczy – to jest do m i a n o w n i k o w a n i a f i l o l o g i c z n e g o, i że to jedynie tą drogą kres swój znachodzić może, czego zasłużony i genialny Kamiński nie wiedział jeszcze, acz my przez jego zasługi położone w rozkładaniu wyrazów dowiedzieliśmy się – ale byłoby to za wiele o tym pisać – wspomnę tylko, że-ć g ł ą b wszelka jest to i k ł ą b, i g o ł ą b, ale dalej... ucziszam się już jako Calderon w dramie swej... wiadomo jest wszelako, iż w tej pracy to, co jest filozoficznym jej kamieniem, to właśnie że ta znajomość k r e s u, d o k t ó r e g o, r o z k ł a d a j ą c w y r a z y, o b j a ś n i a s i ę, a o d k t ó r e g o j u ż, r o z k ł a d a j ą c j e, z a c i e m n i a s i ę zamiast objaśnienia – i ten kres m i a n o w n i k i e m ja zowie.

Patetyczność nie pochodzi od *πάθος* (choroba). Patetyczność pochodzi od *πάσχω*...

Tylko z d r o w e - c i e r p i e n i a dramatycznymi zdają się być... choroba ma na polu wiedzy patologię raczej, nie patetyczność.

Różnice tu, na polu sztuki, są takie między powyższymi określnikami, jak na polu życia np. między h i s t o r y c z n y m a h i s t e r y c z n y m fenomenem jakim...

. . . . .

Jeżeli mówię: c i s z e r ó ż n e, to i w y r a z y one białe, bezmyślne, nie opowiadające nic, a których kilka tu i owdzie słyszałem, albo którym raczej świadkiem byłem, bo od tła, na którym miejsca swe znajdowały, nieodłącznymi są.

– To – pamiętam, że dawno, dawno – było to jeszcze w roku około 1836, kiedy tak odmienne było całe tło myśli w Europie, a *Dziady* pana Adama były mi potężną, j e d y n ą n u t ą m y ś l i i u c z u ć, jak każdemu... te czytałem...

Było to w dzień najprozaiczniejszej barwy, ni suchy, ni dżdżysty, o dobie około południowej i bardzo powszednią barwę mającej, na zagrodzie ubogiej ojców moich, gdzie urodziłem się – na prostej, bezpoetycznej, obwodu stanisławowskiego w Mazowszu, równej jak piaski ziemi – siedłem wzdłuż alei, która sad owocowy od warzywniej ogrodu części przedzielała – alei bynajmniej z drzew sędziwych i sadu wcale szczupłego – nie myślałem o niczym w tak nijakim miejscu pod każdym względem – – gdy naraz dziewczyna, za aleją w ogrodzie warzywnym onym pieląc, głosem bynajmniej pięknym i nie dokończonym tokiem urwanej pieśni zanuciła:

...a odjechać od niej nudno,  
a przyjechać do niej trudno!...

Stałem jak wryty, myśląc, że głos do nacytania się w dramacie pana Adama piosenki onej zastosowałem w sobie słuchem moim – ale po chwili znowu najwyraźniej też słowa tym głośniejszemu mię doszły:

...a odjechać od niej nudno,  
a przyjechać do niej trudno!...

„Prosta pieśń – rzekłem – ale dobrą myśl zawiera...” (widać stąd także, że Mickiewicz z pieśni gminnej ją przybrał).

. . . . .

Niebieskiej uroczystości cisze są w Albano za Rzymem, nad jeziorem, które odbija w sobie Castelfano – tam, kiedy zadzwonią na *Angelus*, a niebo jest chmurki nieświadome i jezioro nieświadome zmarszczki, laury wtedy wiśniowe nieporuszonymi i szerokimi liśćmi swymi cień, jak one cichą, rozrzucają po ścieżce krętej nad wodą, a przy skale, jak gzyms u gmachu starożytnego, uczeptionej.

Po ścieżce tej pojechałem był raz o południu ku *Grotta Ferrata* i powracałem wieczór tą samą ścieżką, a jadąc na osle, zwłaszcza w górach, pamięta się dobrze szczególnie wszelki na drodze spotkany. Dzwoniono na *Angelus*, kiedy zjawił się obok mnie wieśniak włoski na osle swoim i obadwa zdjęliśmy kapelusze, po krótkiej modlitwie wraz przez toż uczestnictwo w rozmowę wprowadzeni.

Widząc albowiem wieśniak ów, Włoch, że katolik jestem, nie myślał, abym był obcym człowiekiem, i mówić poczęliśmy, jadąc razem, o tym i owym – nawet o niedoperzach, które już świstać poczęły nam wkoło kapeluszy, że mrok zapadał... Jakoż pomnę, iż Włoch ludowym opowiadał mi sposobem starożytną bajkę grecką o Prometeuszu i Epimeteuszu, przetłumaczoną na ten sposób, iż Pan Bóg ptaszka stwarzając błogosławił mu, a zły duch, coś lepszego wymyślić chcąc, dał życie niedoperzowi... Takie to różne rzeczy mówiliśmy, nogi mając wolno w strzemionach naszych i opuściwszy cugle niepotrzebne, gdy osiołki po wąskiej jak miedza polska, skalistej wiszarze – pod spadziwą skałą, a nad jeziorem – próbowały uważnym kopytem rażno zdążyć...

Naraz – osiołki stanowczo wstrzymały się, a my siedząc na nich poczuliśmy, że o zaporę uderzamy, lubo, dla mroku zupełnego, dostrzec od razu trudno było, co zamurowało ścieżkę wąską, tam jadąc tak dobrze już poznaną. Był to zaiste odłam skały, tak jak szeroka droga, na którą się ze szczytu góry stoczył, wielki, zupełnie więc zamykający przejście... Kiedy przeto, siodła opuściwszy, oprowadzaliśmy, jak można było, osły nasze, sami przez głaz przełaząc... rzekłem do towarzysza Włocha: „...Przed kilkoma godzinami przejeżdżałem tędy cwałem za dnia i pamiętam na pewno, iż tego głazu nie było tu...” A on chwilę przemilczał – potem, uchylając nieco kapelusza (jak przy zagajeniu rozmowy naszej na *Angelus*), w pół monologicznym akcentem rzekł: „...Ten kamień rodzaj nie upada, kiedy chrześcijanie są na drodze... ale... kiedy nikogo nie ma, to one się tu staczają z wierzchu skał... bywało...”

\*

Teatr i drama współczesna, aby sądzić, do ila, z tego punktu widzenia uważając je, krytyki nie wytrzymują i umarłymi są, to trzeba i i n n e j n a t u r y c i s z ę jaką z teatru deskami zbliżoną, uczuć i dotknąć jej.

Kiedy – o południu, wśród tłoku i gwaru, na wschodach do izby poselskiej wiodących śmiercią Cezara upadł minister Rossi, a krew wstęgą krzywą od szyi mu się na ścianę zato-



czyła, do odpasanej szarfy podobna... nadszedł po niewielu godzinach i on harmonijny wieczór włoski, i księżyc za nim o chwili sobie właściwej wytoczył się na niebo, tylko że przesłonięty (pamiętam) chmurą wąską, jak kiedy prosty człek rękawem ociera czoło swoje – albo oczy przysłania...

Minister miał być .zwyczaj w znanym kącie łoży, czerwonym aksamitem wybitej, jemu tylko należnej, w teatrze o spóźnionej godzinie siadywać; a ktokolwiek uczęszczał na operę, pamiętał mimowolnie, że medalowej czystości rysów profil, z wiadomej strony, od wchodu do sali, o pewnej godzinie należy mu się widzieć. Nocy tej – takim, jako się rzekło, księżycem oświeconej – czemu grano p o p i e r w s z y r a z na operę przerobionego *Macbetha*... to kazuistyczne tylko dziejów teatru filiacje wytłumaczyć by (nie najzupełniej na próżno) może i potrafiły.

Pamiętam – że przez ciche, bez pieśni i mandorlinów, i rozmów zazwyczaj różnych, ulice – może i nie ja jeden dlatego się udałem d o t e a t r u, a b y p u b l i c z n o ś ć w i d z i e ć...

Chwila otworzenia kurtyny wedle codziennego programu gdy nadeszła, znaczna liczba widzów w przysionku teatru nie najjaśniej oświeconym i po kawiarniach bliskich, g d z i e n i k t d z i e n n i k a z e s t o ł u n i e p o d e j m o w a ł, nieporządnie przechadzała się... Po niejakiem czasie weszła garstka, a połowa jej wyszła i weszła znów – muzyka rozpoczęła uwerturę... W wyższych łożach, tu, owdzie, parę osób niestrojnych albo niespodziewanie strojnych dam parę pokazało się. Niektórzy wychylali się i oglądali naokoło, jakoby afektując, iż widzieć chcą oblicze i liczbę publiczności; nareszcie za rozwinięciem opery sformowała się pewna całość gości używających teatru z nawyknięcia, jak gdy o pewnej dobie higienicznie kto nawykł w wiadomym kierunku bez celu przechadzać się...

W miarę jednak, jak opera przez treść swą w dramę i tragedię przechodzić z czasem zaczynała, pusta łoża ministra Rossi, nie oświecona jako inne (iż familijna była), ciemnopurpurowe, aksamitne wnętrze swoje ku światłu, jak wielka rana, odmykając, uprzedziła wrażeniem magiczną oną Shakespeare'owskiej tragedii chwilę, kiedy cień zasztyletowanego Banka na pustym krześle przy uczcie teatralnej zasiadać ma... I poczęło się grać pomiędzy publicznością a sceną to, co Shakespeare w *Hamlecie* obmyślił był, aby zagrać tragedię na dworze, scenę na scenie dając... i kto wtedy publiczność a scenę widzieć tam przyszedł był, to w czasie, kiedy aktor Banka cień przedstawiający wynika z trapy swej, ranę czerwoną pokazując, znajdował się sam pomiędzy teatru pełnią a pustką łoży ministra, jako Hamlet u nóg Ofelii... i nie dowierzał sobie sam, że widzem przytomnym jest, albo: i tu, i tam Shakespeare'a tylko aktorów grających widząc, baczył, azali sam jeden Shakespeare chyba widzem prywatnym gdzie nie stoi...

. . . . .

Takich to c i s z akordy straszne są samą głębokością sądnych kombinacyj swych, przytoczyłem zaś on powyższy zarys na to, aby *Białe kwiaty* stosowny sobie miały cień, l u b o n i c t u s i ę n i e p i s z e, c o b y n i e b y ł o u s z c z k n i ę t e, ż e t a k p o w i e m, z n i w n a t u r y r z e c z y, i jeżeli mniejsza jest cokolwiek nieobecność stylu, jaką użyłem w *Czarnych kwiatkach*, to o tyle tylko, o ile jest wcale niemożliwym uniknąć sztuki, owszem, o ile ta w tej sferze sprawuje prawdę przedstawienia.

Błogosławiony i szczęśliwy pisarz, który prawdziwej patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże – p i s a r z i c z ł o w i e k k a ż d y! – lubo często te nieledwo wcale od nas zależeć nie zdają się.

A są tym piękniejsze, z tego je stanowiska ceniąc, im mniej jako idea i myśl zawierające w sobie – im nijaksze...

Często: że je określać trudno, zapominane są i mało baczono... zaiste – nie kryję, że uprzytomnianie ich sztuką pisania bacznej bardzo pilności wymaga...

Mniemam wszakże, że byłoby zarówno pięknie, jak, z d a j e m i s i ę, k o n i e c z n i e p r a w i e, aby sztuka polska, pod tym względem p i e r w s z ą s i ę w europejskiej dzisiejszej literaturze jawiąc, słupy swe żelazne zakopywała stanowczo i wyraźnie. Nowego budynku estetyki niebezpieczna jest systematami, najbezpieczniejsza prostotliwą parabolą, z życia bezstronnie przyjętą uczuciem, utwierdzać... A zaś ś w i a d o m o ś ć p a r a b o l i sama przez się coraz dalsze pokaże kresy, braki, dobytki...

Pamiętam kilka słów zaszłych mi w drogę tu i owdzie, które najdobitniej uprzytomnić mogą ogólny zarys moralny i estetyczny tych notatek. A przytacza się je (jako każdy dobrej woli czytelnik zauważyć potrafi) z wdzięcznością nawet, iż za wskazówkę poszukiwań prawd estetycznych posłużyły.

Żadnej myśli nie określające słowa powiedział mi raz jeden z najpoważniejszych obywateli w Europie, kiedy w onych niedawnych, łunami rewolucji świetnych latach przybyłem z Rzymu do Paryża.

Starzec ów znakomity, pogodnie rozmowę zagaiwszy, pytał mnie o Rzym starożytny: ile? – gdzie? – jako? odkopywanie starożytności postąpiło... Odpowiadałem był jako osobie dotykalnie rzecz znającej jako się mówi z kimś, co w rozmowy celu niknie przez to, iż przedmiot szczyrze zna.

Że taka rozmowa w sobie samej żywot ma, wypadło mi najprościej dla porównania postępu prac zapytać: „A k i e d y ż k s i ą ż ę j e g o m o ś ć o n o F o r u m - R o m a n u m w i d z i a ł e ś?...” Odpowiedź była najprościej, którą jednak w notatki słów onych powyżej określonych zamieściłem – odpowiedział mi był książę: „T o b y ł o w p r z e s z ł y m s t u l e c i u.”

Trzeba być zaiste wywikłanym z fałszów estetyki schorzałej formułek, aby śmieć wytykać i poszukiwać dróg odbudowania szkoły nowej w s z t u c e czy to w l i t e r a t u r z e - s z t u c e, wszelako coraz bliżej (śmiem to zapowiadać) zobaczycie już w Europie kierunki te na jaw wychodzące; trzeba więc, aby młoda szkoła polska baczna była.

A inne znowu słowa, w Londynie np. które przytrafiły mi się, dały mi to dostrzec, jak jest łatwo poddać się formułkom czcym bezpatetycznej dramy.

Artysta, też i ludowego pierwiastku czciciel, mieszkałem tam w najuboższym prawie domku najuboższej miasta części.

Wieczorem raz, przy świetle sam zostając, nie uważałem, iż ktoś wszedł, zwłaszcza iż angielski klimat wilgocią swą przygłuchnięcie moje chwilowe zwiększył... Mąż postaci zacnej (i rycerskiej nawet twardością rysów swych) stał przede mną, laskę grubą trzymając –wstałem i przywitałem. „Nie wiem – rzekł gość – jak się odezwać mam: o b y w a t e l u, z i o m k u, r o d a k u c z y p a n i e?” Dekoracje tej sceny były więcej niż zaniedbane, a ja mniej starannie od gościa osłonięty.

„Proszę usiąść” – odrzekłem. „Nie! – na to przychodzień – pierwszej niech wiem odpowiedź...” „Otóż – rzekłem – widzi pan, można powiedzieć p a n i e i powiedzieć b r a c i e, powiedzieć b r a c i e i rzec przez to p a n i e, i wszystko w tym (wedle estetyki polskiej) zależy od tego, jako się powiada albo słyszy – a k’temu, a b y w i d z i a n o, d o t y k a n o i s ł y s z a n o s ł u s z n i e, t o ć s ą s z t u k i p i ę k n e o d p o w i a d a j ą c e w z r o k o w i, d o t y k a n i u, s ł u c h o w i... tych sprawiedliwe uprawianie czyni..... a muzyka już u nas przecie kwitnie...”

Tak – oto coś począłem mówić – gdy przychodzień pięknym męskim głosem rzecze: „To najlepiej: rodaku!” – ale przycisk taki był na literze pierwszej, iż w głuchocie mej dalsze mi zniknęły, światło przy tym mdłe i postawa, i laska gruba uczyniły razem, iż zdało mi się nie r o d a k u, a l e r r r o b a k u! usłyszeć.

Że bez śmiechu to notuję, jako potrzebny odcień w zarysie tym, proszę również tak przyjąć; nie celem mi tu śmiech, ani środkiem na wet. Innych, pewniejszych środków bliskie jest to pisemko z siebie samego. Biały-ć i to kwiat!... bo zarysem, jego było serio i drama, ale widno, do ila własnego tu wyrobu estetycznego i pojęcia patetyczności własnej zbywa! Może w innych poszukiwaniach innych dróg na innych polach posłużyć i ja komu za objaśniające śmiesznością swą światelko... wszyscy służymy... estetyka zaiste że narodowa polega na tym...

. . . . .

Kto by myślał, że poszukiwania świadome nowych estetyki zdobytków byłoby na polu szerszym, po francusku na przykład, stosowniej wypowiedzieć, myli się.

Swobodnie tu jest i przystępnie wszystko w tym wielkim i znacnym narodzie, dla którego szacunek mam świadomy siebie, ale... może by trzeba w ł a d z ę pierw mieć albo s y s t e m a t sławny na to, a obie te rzeczy wprost przeciwne są celom takowej i mojej pracy.

Mistrze zaś wielcy w sztuce, choć to i usłyszą, i zrozumieją, c i e r p i e ć b ę d ą, że n i c k ‘ t e m u n i e u c z y n i l i, a n i e u c z y n i ą n i c!... czekając zawsze, aż uczeń mistrza, a pokolenie zakasuje pokolenie, skąd c i ą g u nie ma i mieć nie może tak rozwijana sztuka... K o n k u r e n c j a na polu p o s t ę p o w i jedynie dostępnym jest najprostszym *absurdum*, a e m u l a c j ę zabije zawsze k o n k u r e n c j a i energię twórczą wyniszczy.

Lubo nie ma co się tam przecie ś c i g a ć, gdzie dróg jest nieskończona liczba – to tylko, jak się jedną drogę widzi, ścigać się może jest koniecznym, i to jeszcze: może!... Przy tym n i e ś w i a d o m o ś ć w a r t o ś c i e l e m e n t ó w k o m i k i i s a t y r y wyniszczy tu zawsze siew tej niwy...

. . . . .

C i s z y w najkolosalniejszym słowa tego tonie nie doznałem nigdzie jeszcze wyższej nad ciszę o jednej nocy, acz zimowej, na Oceanie... że słów na to nie ma, mimo iż twarda to i prawie głodna podróż dwumiesięczna przeszło była i uprozaiczniała dobrze... pomnę, iż obejrzawszy się wkoło ani modlić się nawet słów i nie miałem – i z a p ł a k a ł e m t y l k o... że m o ż e b y ć t a k w i e l k a c i c h o ś ć... a przecież tyle mórz pierw innych znałem...

Izraelicie, towarzyszewi podróży, którego raz w życiu napotkałem, i to na okręcie, patetyczne rzeczywiście winienem także słowo.

Był to młodzieniec światły, w filologii i filozofii także niemieckiej biegły, historię też znał i o sztuce miał wyobrażenie – umiał on i po polsku parę wyrazów, bo, acz za granicą wzrósł, pamiętał, że dziecięciem w Polsce był; jak to mówi się czasem u nas szlachty: b y ł t o ż y d z i a k.

Jedliśmy nieraz razem z jednego naczynia ryż gotowany, zwłaszcza kiedy trudno było gotować, z powodu iż burze kuchnię rozbijały, a f a l e w y ż s z e m a s z t ó w przechodniem na statku pomiatały. Bo to była też niebezpieczna żegluga: dwa okręta współpłynące rozbiły się, jeden r o z b i t y widzieliśmy na własne oczy.

Wiele razy na zwojach sznurów z Izraelitą owym całe noce rozmawialiśmy po francusku o polityce, historii, filozofii, estetyce, o Religii Chrystusa Pana i o Talmudzie, i o Mojżeszowym prawie, i o nie wiem już czym. Gdy nadeszła niedziela (jedna z tylu n i e d z i e l! ), że, ubierając się w kajucie, przymknąłem nieco drzwi, patrzę, aż ręka się przez szparę z niedomknięcia drzwi wynikła wsuwa, podając mi r ó ż o w ą f l a s z k ę o l e j k u d o w ł o s ó w i b i e l i z n ę ś w i e ż ą: rzeczy, domyśleć się łatwo, jak kosztowne i rzadkie tam, gdzie już w o d ę bardzo oszczędnie rozdawano, i przy broni nabitej, aby ludzie się o wodę

nie pobili... Izraelita wszakże, przynosząc mi te rzeczy, wiedział z innych niedziel, pu samej książce do nabożeństwa spotykanej u mnie, iż dzień ten wyróżniać zwykłem. Otóż mówiłem z nim wiele, wiele różnych rzeczy...

Jednego razu, wpođuż statku miotanego ogromnymi falami chodząc, że spodziewano się znaczniejszej burzy w nocy, ruch był wielki i krzyki rozkazów szczególniejsze niż dotąd... a że chodząc tak przed ona oczekiwaną burzą mówiliśmy żwawo coś o Bożoczłowieczeństwie Chrystusa Pana naszego, interlokutor mój przymilkł jakoś na chwilę, i ja za nim; potem, wskazując mi na fale, rzekł: „A więc wierzysz i w to, że Mesjasz chodził po falach jak po ziemi?...”

„Wierzę” – odpowiedziałem.

. . . . .

Po niejakiem przestanku obustronnym, widząc, iż mój interlokutor izraelskiego jest wyznania, a światły człek, dodałem:

„Przypominasz sobie zapewne moment i okoliczność, w których Pan przez morze szedł (boć czytujesz Ewangelię ze mną razem, kiedy mi hebrajskie czytanie na tłumaczeniu Nowego Testamentu w wolnych chwilach pokazujesz), był to więc moment, kiedy już rzesze całe w najwyższym stopniu zaczęły się za Chrystusem Panem porywać w z a p a l e t ł u m n y m – lada chwila królem już ziemskim mógł być okrzyknięty... otóż uchadzał w ten czas drogami najmniej od rzeszy znanymi... w takim to położeniu raz przez powierzchnię morza szedł... akt był logicznie naturalny, wynikł z rzeczy samej, jeżeli, jako widzisz, na m a l e ņ k i e j z i e m i syryjskiej zostawszy Panem, to wystarczyło już, aby panem oto był w s z e c h z i e m – tam więc, gdzie owa ziemia maleńka, kończyła się też i cała ziemia z ładami swymi, a zaczynało się morze... powiesz mi (lubo filozof jesteś): «A czemu to tak nie pójdziesz, bracie, aby pokazać mi, że tak jest?» Z m i e r z - ż e p i e r w e j p r o p o r c j ę m o j ą d o P a n a m e g o, tudzież uważ, ażali On, a b y p o k a z a ć t o, c z y n i ł t ę s p r a w ę, czy nie raczej, a b y u k r y ć d o s t o j n o ś ć s w ą . . . . .”

„T o j e d n o c i p o w i e m – (mile tu wspomniany, a raz spotkany) Izraelita rzecze mi – ż e j u ż c i C h r y s t u s w a s z b y ł t o m o ż e n a j i d e a l n i e j s z y c z ł o w i e k . . . . .”

. . . . .

Książę pewny, z zacnego a wielmożnie historycznego szczepu (bo hetmanów rycerskich między swymi dziady mający), był też od niejakiem czasu w Ameryce, o b y w a t e l e m R z e c z y p o s p o l i t e j zostawszy, i na pięknym przedmieściu miasta New-York, które to przedmieście zowie się Brooklyn, zamieszkiwał. Wiele mu winienem chwil przyjemnych i przyjacielskich usług, a usługi mówię dlatego, bo jest rzadkiej uprzejmości serca człowiek.

Kiedy, wielkim smutkiem dotknięty, po onym wybrzeżu przechadzał się raz ze mną, a słońce właśnie ku zachodowi miało się, chmurą mocnymi promieniami przesyta osłonięte, widać było opodal w z g ó r z e m a ł e, zielonym wówczas porosłe żytem, w kłosach właśnie będącym – dalej szeroka rzeka srebrzyła się pod słońca jasnością, f o r t e c y m a ł e j m u r y n a b r z e g u j e j i o k r ę t u t u ż r e s z t k a czerniły się...

Nie pamiętam, o czym mówiliśmy... ale mówiąc rzeczy rozmaite, pamiętaliśmy, dokoła spozierając, że okręt ten zachowała do dziś Ameryka na pamiątkę męża, co na nim przyplynał z Europy...

Wzgórze zielone i forteczka pamiątkami są narodowymi, kędy mąż ów Anglików zbił, a cofających się żołnierzy swych utrzymał tam nieraz odwagą osobistą... I pamiętaliśmy jeszcze, że towarzysz przechadzki mej, z poważnie historycznego a książęcego rodu pochodząc,

liczył pomiędzy żeńskimi przodki swymi właśnie że onego wslawionego w Ameryce polskiego bohatera najukochańszego ulubioną...

Bohater ów – łącno jest wiedzieć, że Kościuszko, a zaś [książę Marcei Lubomirski, stryjeczny wnuk] ulubionej wielkiego wygnańca tego (przez ród jej nigdyś wzgardzonego)... był właśnie ze mną tam wygnańcem i zamieszkałym nieledwie że na pobojuwisku, które sławę Kościuszce zjednało!

Książę obywatel Rzeczypospolitej Amerykańskiej przyjmował radośnie to: wet za wet po wieku...

## **Milczenie**

## Część wstępna

### I

Czy śpiącego można przebudzić g r z e c z n i e?... Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najłżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanym, lecz nie byłoby g r z e c z n i e, bo, końcem końców trzeba śpiącemu przerwać snowanie myśli jego – i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle, przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Nie można przeto z oczywistości jednej przetrzącać nikogo w drugą sposobem g r z e c z n y m, i pewne brutalstwo nierozłącznym zdawa się być od roboty takowej. Stąd to głównie i pierwszorzędnie pochodzi ta odpychliwość, jaką na samym wstępie spotyka u ogółu każdy nowy pomysł lub wynalazek, o ile jest początkującym lub posiłkującym nowe koło rzeczywistości i oczywistości, budzić albowiem grzecznie w żaden sposób nie daje się.

Owszem, większość ogromna współczesnych, ażeby stanowczo uprzedzić wydarzenia i spoczynek utrwalić, starała się i bardzo pilnie stara uzasadnić i rozpowszechnić przekonanie, iż n i c n o w e g o pomyślanym i okazanym nie może być i że wszelka umysłowa w tym kierunku podejmowana praca przez to samo jest płonnym zachodem.

A co (należy ostrzec), że się może na pozór udowodniać z tej przyczyny, że wszystko rzeczy i spraw świata tego będąc w jedną harmonię obejmowaną, łatwo jest odwrotnie w tejże harmonijnej jedności dopatrzeć wszystkiego zaczątków, jakoby przeto już nic n o w e g o być nie mogło! Jest w tym jednak błąd ogromny, to jest: że *absurdum*, bierze się za n o w e... tylko albowiem *absurdum* leży poza ogólnym prądem harmonii bytu wszystko ogarniającej.

I wielokrotnie, i do syta nasłuchany w tym względzie cudzych zwątpień, byłem raz użytym w delegacji do jednego istotnie zasłużonego człowieka, któremu koledzy ofiarowali byli dobrze zasłużony medal. Rzeczą tę cenną oddawałem w ręce udarowanemu i nie spodziewałem się być bynajmniej żadnych patetycznych utrudnień w tym poselstwie, osoba albowiem i prawdziwie zasłużoną była, i szczerą prostotą pełną.

Atoli, skoro uznawany i oceniony, przyjąwszy swój medal, począł starannie go obzierać, dostrzegłem nagle na jego licach przeblysł podobny do uśmiechu, pomieszanego z wielce głębokim wrażeniem – to zaś było tak dziwnie wyraziste, iż długo jeszcze potem nasuwała mi sama wyobraźnia ten psychologiczny obraz. Aż we wiele czasu po delegacji, znalazłszy się raz bardzo poufnie z mężem, o którym tu się mówi, podniosłem umyślnie okoliczność i zapytałem o przyczynę szczególnego wrażenia...

– Rzeczą jest niezmiernie prosta! – odpowiedział – po pierwszy raz w życiu zobaczyłem czoło, usta i n o s w ł a s n y w profilu... I gdyby nie wasz medal, może, jak bardzo wielka liczba ludzi, położyłbym się w grób, nigdy pierwej własnego nosa mniej jednostronnie nie widziawszy. Ja, który przecież ze wszech stron piramidy oglądałem!... Otóż myśl mi przyszła była, że zaiste muszą być jeszcze rzeczy nowe do okazania ludzkości, jeżeli, mówię, własny jej nos można zwiastować!

– Szkoda wielka – rzekłem – że tego właśnie nie raczyłeś nam być powiedzieć –

– Kiedy... jakoś... sam przyznaj, iż takich rzeczy się nie mówi...

\*

Sąż zatem głębiny i stopnie szczerości ducha i oczywistości, które się jakoby s p ó ł - m i l c z e n i e m ogółu uznawa, ale którym jawność społeczna odmawia wygłosu, co okres, co wiek takowych to z-milknień nieuchronnie dla rozwoju swojej pełni potrzebując? Za całego okresu heroicznego greckiej filozofii, to jest aż do Arystotelesa (lecz nie policzając tego mędrca), nikt nie pojmowałby takowej j a w n o ś c i - w z g l ę d n e j, zakreślone z góry szranki mającej, ani ona komu wystarczałaby! Nieledwie że na ulicy zapytać było przecie można, co jest dusza? jak i ile nieśmiertelna? co życie i żywot? na co i dla czego filozofia?... Zapytywany z nie mniejszą odpowiadał prostotą: „Tyle a tyle wiem, lub nie wiem; co do filozofii, ta – za cel ma uczynić człowieka moralnie szczęśliwym!”<sup>35</sup>

Starożytni n i e z n a l i w c a l e pewnego rodzaju uśmiechu, który dopiero myśmy wynaleźli, a który też wynalazek zapewne nam przynosi niemały zaszczyt. To jest, oni nie znali uśmiechu zatechłego umysłu i zupełnie zwątpiałego serca, z jakim odpowiadają dziś mędrkowie na zapytania ludzi naiwnych, świeżych i coraz rzadszych! – Zacny Diogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki wtórej, skoro w księgozbiórce Akademii widząc zapracowanych starców, pytał, kto by to byli? – „Ci, co prawdy szukają” – odrzeczono. – „Ach! a k i e d y ż o n i b ę d ą m i e l i c z a s j ą p r a k t y k o w a ć?!...” Te wielkie słowa jego i inne, brzmiące żywo, jakby wczora rzezonymi były, nie spotkały były na razie naszego społecznego uśmiechu i ostrzeżenia, iż „t a k i c h r z e c z y s i ę n i e m ó w i...”, że do takich głębin wielkiego zadania bytowego nie zstępuje się, że w i e d z a (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności-specjalne) ma zadanie inne... a j a k i e z a d a n i e??... tego się także nie mówi!

---

Słowem – że mądrość oczekiwać spokojnie winna na uzupełnienie wiedzy przez pojedyncze rozwinięcia umiejętności wszystkich, i że wtedy czas przyjdzie praktykowania prawdy! To jest bardzo piękne, tylko, z jednej strony, nie zaspokaja wcale, i owszem, prawie potwierdza Diogenesa zarzut, z drugiej, jesteśmy w stanie zrobić tę małą uwagę, że podział na specjalne umiejętności zaskoczonym bywa i może być przez pojawienie się całych nowych umiejętności, których prąd i kierunek od naszego umyślnego systematorstwa nie zależy.

Rzecz szczególna! ze wszystkich mędrców starożytnych jedyne Diogenesa powiedzenia wybrzmiewają nam do dziś jako utwory społeczne. Moglibyśmy go nazwać H a m l e t e m - f i l o z o f i i, gdyby na myśl też samą nie wpadał był Plato, nazywając go „O b ł ą k a n y m - S o k r a t e s e m”! Wszelako omyliłby się bardzo, kto by Diogenesa poczytywał jedynie za improwizatora dorywczego i za bezkierunkowy jaki h u m o r. On nie jest dotąd jeszcze obejrzany w całości umysłu swojego. Zwłaszcza iż sam powiada: „Ja, przesadzając we wszystkim i pełniąc nazbyt – czynię to ku temu, ażeby ci, co przyjdą po mnie, nie potrzebowali p e ł n i ć n a z b y t, l e c z w s a m ą m i a r ę...” Filozof, który to i z taką wyraża trzeźwością, nie jest samym tylko genialnym humorystą.

Lecz planetarna wartość wielkiej Diogenesowej gwiazdy mniej była i mniej jeszcze bywa ocenioną od jej błyskotliwych tęcz dowcipu. Na mędrca tym zamyka się ta filozofia, którą ja h e r o i c z n ą nazywam. Wedle tegoż uważania mojego filozofia ta nie zaczyna się wcale od

---

<sup>35</sup> I uczone Arystoteles podziela to dogmatyczne filozofów uznanie, że filozofii celem jest uszczęśliwienie moralne człowieka – dodaje on wszelako dwa jeszcze warunki, to jest, ażeby człowiek był u r o d z i w y m i p o s i a d ą m a j ą t e k (sic). – Jest to jeden z powodów, dla których mędrca tego policzamy do nowszego okresu. C. N.



T a l e s a, lecz od A j s c h y l o s a dramatycznych przedstawień, gdzie wykladało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało się i d e e p o s t a c i a m i, zaś zamyka się i kończy nie mniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest, zamyka się D i a l o g a m i - P l a t o Ń s k i m i, tak iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie podziwia i ceni, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodzenia i rozwoju myśli greckiej, lecz d l a d z i e j ó w s z t u k i zostawa. Gdy tymczasem Platoński D i a l o g ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty wśród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linii ostateczną jakoby rzeczywistością onych dialogów olimpijskich Ajschylońskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze nie ma, lecz gdzie święte i mądre *fata* człowiekiem dla idei pogardziły.

Pogląd ten, o s o b i s t y m m o i m będąc, może nie znaleźć usłusznienia, ale on usuwa na swoje miejsce pojęcia s z k ó ł, które sprawiedliwymi być nie mogą względem czasów, w których jeszcze szkół nie było i w których to, co później jedną ze szkół zowie się, było raczej powszechną ogólnością. S z k o ł y świadczą więcej o miejscu niż o ciągu rzeczy, a niekiedy są tylko nominalne.<sup>36</sup>

Także i dostąpiona z pochodzeniem czasów doskonałość specjalna (np. tragedia Sofoklejska) nie godzi się, ażeby przeto wstecznie upodrzedniać miała objaw pierwotny, bo ten pierwotny objaw, lubo zaczątkowy, miał także swoją doskonałość, będąc wyznaniem publicznym wiary i wiedzy swego czasu.

Czy przez p r z y b l i ż e n i e (*à peu près*), jak pierwotni czynili, czy (jak po Arystotelejsy) przez s y s t e m, otrzymuje się i udziela słuszniej światło i dobro?..

Oto jest pytanie etycznie kardynalne i wprost podejmujące zacytowany Diogenesa utysk względem akademickich pracowników, skoro, widząc ich prawdy szukających („*quaerere verum*”), słusznie wołał: „K i e d y ż o n i c z a s b ę d ą m i e l i j ą p r a k t y k o w a ć?!...”

Zaiste, jak niebądź i czujnie, i współpracownicy oczekuje człowiek na owe, których dostąpić mamy, doskonałości, zaręczone nam postępowaniem, ulepszeniami potwierdzane i jaśniejące coraz nowym, coraz pełniejszym (lubo zawsze nie wystarczającym) systemem, jednakowoż tenże sam człowiek i społecznie zajmuje przecież także żywe miejsce w codziennej dramacie doczesności, a na jej powołania odpowiadać i dopisywać onym jest obowiązany. Miałby on przeto jedną wiedzę podrzędną i zdawkową na codzienne takie wypadki? – drugą zaś w zapoczątkowanych pracach ludzkości i jej spodziewaniu domniemaną? Jedną t y m c z a s o w o p o s ł u g u j ą c ą, drugą o b i e c a n ą... Stąd obiedwie niezupełnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe.

Śród takich to wiedz i tak się znajdując postawionym, uważa człowieczeństwo za dobre używać częstotliwie, zamiast odpowiedzi, n i e w y p o w i e d z i a n y c h o d w ł o k z d a n i a, p r z e m i l c z e Ń i n i e - d o g ł ę b i e Ń wątpliwych.

Atoli takowe właśnie że umyślnie czy przemyślnie n i e w y p o w i e d z i a n e o d w ł o k i z d a n i a, p r z e m i l c z e n i a i n i e d o g ł ę b i e n i a są przecież utajoną myślą, więc są tylko koniecznym nie-do-powiedzianym ciągiem rzeczy!...

Czy s y s t e m posiłkuje w czymkolwiek prawdę? czy sprawdza ją albo jej świadczy?... on, który zarówno rzeczom fałszywym, jak niefałszywym może służyć!... gdzie i po co wciąż

---

<sup>36</sup> Dla tak różnowzględnych przyczyn szkoły filozoficzne brały nazwy swoje, iż nie można wiele się na tym opierać. Np. szkoła e l e a c k a (veliacka) dlatego, iż w mieście V e l i a trzech się filozofów narodziło było; szkoła e l i a c k a (Phedona), która, przeniósłszy mieszkanie do E r e t r y, zowie się i e r e t r i a c k ą... Pojmujemy nazwę s z k o ł y j o Ń s k i e j dla wielkiej doniosłości żywiołu jońskiego – ale czy naówczas cała umysłowa Grecja nie była jońską?... Szkoła i t a l s k a jest tak dalece szkołą samej wielkiej osobistości Pitagora, iż po śmierci jego wyprzedaje się z rękopismów za pieniądze... i to P l a t o Ń s k a - A k a d e m i a zyskuje na owej pozgonnej likwidacji. C. N.

nowe i zastępujące dawne systemata prowadzą, przewalając uprzedzicieli swoich?... czy nareszcie system, sam w sobie uważany, kształci się także i postępuje?... Myślę, że nie! albowiem system się budując na pojęciu *z u p e ł n o ś c i, c a ł o ś c i i h a r m o n i i*, takowym brakować nic nie może; mógłby tylko na szerz postępować, coraz większą obejmując wszytkość następstw, pojawisk i szczegółów. I byłoby nareszcie do wnioszkowania, że ostatecznym dostąpieniem doskonałości systematu musiałoby być jego porównanie z systematem świata naszego. W tym wszystkim wszelako nic nam prostotliwie nie powiedziano dotąd, i dlatego z wątpliwością wyrażam się. Wiem, że czemu niebądź system służy, zawsze on nie większą ani mniejszą cząstkę prawdy obejma, to jest, że budując się na pojęciu *c a ł o ś c i, z u p e ł n o ś c i i h a r m o n i i*, jużci że wyrażać musi ideę *s y m e t r i i, m i a r y i p r o m i e n n o ś c i*... oto wszystko!...

Zaś co do działania *p r z e z p r z y b l i ż e n i e (approximative)*, te – wydawa mi się być najwłaściwiej doniosłym atrybutem ducha ludzkiego. Nie wiem, zaprawdę, czyli jest jaka forma działalności umysłowej odpowiedniejsza położeniu naszemu, jak *p r z y b l i ż e n i e*! Jesteśmy w każdym zmyśle i rozmyśle naszym otoczeni kryształem przezroczystym, ale uoblędniającym poglądy nasze. Podobno że, cokolwiek bądź czynimy, zagaja się albo uzupełnia przez *p r z y b l i ż e n i e*. Jesteśmy sami poniekąd nie inaczej istniejącymi na wirującym Planecie szybciej od uderzeń pulsu... A przeto można by nawet rzec, iż działanie przez *p r z y b l i ż e n i e* nie jest dla nas przypadkiem, lecz podbitym sobie warunkiem<sup>37</sup>. Stąd to, obejmując one – i jednocząc – dwa wielkie klejnoty umysłowe, czyli: *r o z w a g ę u m i e j ę t n o ś c i i n i e r o z w a g ę i n s t y n k t u p r z y r o d z o n e g o*, jest zupełnie *c z ł o w i e c z y m*. Toteż my, tak rzecz pojmujący, nie odpowiadamy *p r z e m i l c z e n i a m i* na pytania żywotne – bynajmniej...

---

<sup>37</sup> Godziłoby się zapytać czynnego *g e n e r a ł a*, doświadczonego *k a p i t a n a - o k r ę t u*, biegłego *c z ł o w i e k a - s t a n u*, do ilar w głównych i stanowczych działaniach swoich opierali się na *b y s t r y m à p e u p r è s* – a o ile na systematycznym działaniu? *C. N.*

Po kilkunastoletnim pobycie w jednej z najświetniejszych stolic Europy, kolega mój, gdy miejsce miał opuszczać i skoro już wszystko do podróży przygotowanym było, rzekł do mnie: „Oto będę miał teraz nieco swobodnego zupełnie czasu, zechciej przeto o stosownej godzinie czekać mię jutro w małym parku przed budynkiem głównej Biblioteki – a ja będę się starał nadbiegnąć z jednej *C z y t e l n i (cabinet de lecture)*, gdzie mam jeszcze z kimś spotkać się i na papiery potrzebne okiem rzucić – po czym zajdziemy też zobaczyć Bibliotekę... inaczej przecie wyjechać nie godziłoby się!...”

W słowach tych, zupełnie naturalnych, cóż usłyszał każdy obecny i wszelki współczesny? a co usłyszałby milczący przez lat parę Pitagorejczyk?... w tychże samych, mówię, wyrazach, które wszelako wystarcza, cokolwieczek odmiennym wygłosić nastrojem, ażebyś się piorunującą stawszy satyrą cały przedstawiły obraz błędu i nieszczęścia głębokiego naszej wiedzy i za nią idącej cywilizacji?

Toteż prostym i logicznym następstwem stało się, że kolega mój nie dopisał i spóźnił się.

Oczekiwałem go spokojnie w przyjemnym cieniu bukszpanów, patrząc na maleńkie dziecko złotowłose, bawiące się kamyczkami z piasku wygrzebywanymi ze starannością nieprzerwaną...

Skoro zaś oczekiwany wreszcie nadbiegł, już zaledwo wystarczyło nam czasu na obejście wokoło gmachu Biblioteki i na architektoniczne uznanie jego zalet. Otóż! – mówiło się – skoro spojrzemy na te szerokie i rozszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzemy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich, i hebrajskiej *j e d n e j i j e d y n e j*... zaiste, że sama się myśl, beznakłonną ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czym skończyć ma ta nasza literacka płodność? to: na czym ona zatrzyma się i w co się odrodzi?

Będzież potrzeba, ażeby być jako tako z gruba odczytanym, tyle pierw oczu sterać, ile ich zaniepodziewa w księgach swoich mandaryn chiński do ostatecznego egzaminu przygotowujący się?!

Dziś – gdy jeżeli gdzie na przykład dziewięćset periodycznych pism wychodzi, to oneż dziewięćset dzienników daje tyleż romansów i powieści we feuille-tonach, a przeto samych już romansów dziewięćset na rok, coś jakoby trzy na dzień, spotyka się... i to jeszcze w jednym tylko kraju Europy i w jednej ze stolic!

Dopowiedzieć co rychlej przynależy, że to zawsze jeden tylko romans, ów ostatni, ów *i n t e r e s u j ą c y r o m a n s o b c h o d z i ć w i n i e n*, ów, co obchodzi wszystkich, i że to zawsze jedna tylko broszura, owa ostatnia, owa, która to zainteresowała wszystkich, ta jest tylko obowiązująca. I że nawet nie czytać można innych, a jednak być człowiekiem...<sup>38</sup>

Tymczasem niefortunnie rzucone i wdeptane w śmiecie osobistości moralnie zaniedbane, przy bladej świeczce, z trudem zakupionej, czytywać będą na dorywczo wpadłych im w ręce drukach to, co przypadek sam im nastęrczył i w oczy cisnął przy zbytkowaniu i rozpuszcie umysłowej szczęśliwszych śmiertelników. I udarty jakiś kawałek papieru drukowanego, świecić będzie tym chciwym rozwinięcia umysłowego oczom i sercom.

Atoli jak, według chińskiej kary-godności, wybiera kat z podanego mu kosza pełnego nożów ten lub ów nóż trafem w rękę jego wpadający, a noszący na sobie napis: *u c h o, n o s, o k o, s e r c e*... i wedle takowego to napisu zakrwawia go na członkach skazanego; tak nieszczęśliwy ów a chętny ukształcenia umysł, tułając się za *b e z- c e l n i e i b e z* -s z

---

<sup>38</sup> Czytelnictwo opieszale bywa naglonym napisami wykrzyknikowymi na rogach ulic: „*C z y t a j c i e t o a t o!*”, przy czym rodzaj ręki, z palcem wskazującym ów nakaz, w rysunku kolosalnym... rodzaj *p i ę ś c i ś c i* śniętej... „*C z y t a j c i e ż! t e n a l b o ó w n o w y r o m a n s!*” *C. N.*

c z e r z e postawioną pracą umysłową, natrafiać musi i natrafia na pojawy więcej daleko zakrwawień i r a n niżli p o j ę ć mu przynoszące!

W całości zatem naszej umysłowej rzeczy jest coś z-falszowanego, coś za-kłamanego powierzchnie i nie znoszącego szczerych prostych zapytań, jak to zwykło się zdarzać w fałszywych położeniach! Że albowiem wiedza dla użytku jakowego bieżącego uprawiona, zawsze, końcem końców, musi ostatecznie, nawet przez otrzymane swe rzeczywiste owoce służyć w i e d z y d l a w i e d z y, to jest tylko doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych wpływem – lecz człowiek, w tym nic sam nie postanowiwszy, bywa tylko jakoby arcyinteresującą igraszką ciekawości bez-granicznej!... ciekawości, która, jeżeli wycofanemu z interesów i dostatnio postawionemu w rzeczywistości, a przyjaznemu wiedzy umysłowi może robić przyjemność umysłową (zwłaszcza gdy innych przyjemności tenże już nie używa), to niekoniecznie dawa się (mówię) .sama ona b e z d e n n a - c i e k a w o ś ć stawić rodzącej się, rosnącej i postępującej wciąż Ludzkości jako jedyny umysłowego bytu interes.

Człowiek chce wiedzieć: g d z i e? i p o c o p r a c u j e m y ś l ą?... choćby tylko dlatego, że bez tej wiadomości niecała jego energia w dzieło zagaja się. Byłoby to zapewne czymś jak bardzo n i e g r z e c z n ą - r z e c z ą, gdyby kto do społecznego mędrca słowa te wystosował:

„Racz powiedzieć, Mężu! czy człowiek może w s z y s t k o w i e d z i e ć?

Czy on oczekiwać ma, aż wypojedynzione umnictwa dokwitami swoimi ostatecznymi stworzą wieniec i koronę światła? A tymczasem, czyli należy, ażeby codzienne jego życie świadczyło zastałym nałogom lub przesądom i posługiwało przyjętym hierarchicznie psychom? – Mężu! rzeknij...”<sup>39</sup>

P a r a - b a z a takowa, zaiste, że byłaby rodzajem n i e g r z e c z n o ś c i, i to tym wyraźniejszej, że na samym wstępie (niniejszej c z ę ś c i p i e r w s z e j *Milczenia* naszego) dostatecznie się udowodniło, jak dalece jest niepodobieństwem śpiącego g r z e c z n i e przebudzić.

---

<sup>39</sup> Na pytania te ze zupełną prostotą gotowi jesteśmy odpowiedzieć i poniekąd, dla umiejętnie czytających, odpowiadamy na nie w ciągu n i n i e j s z e g o t e k s t u. C. N.

## Druga część, właściwa: gramatyczna, filozoficzna i egzegetyczna

### II

Niech panowie gramatycy zechcą wytłumaczyć wszystkim lingwistom Europy i Ameryki, tudzież wszystkim osobom umiętnym:

*j a k s i ę t o z r o b i ł o , ż e c a ł a j e d n a c z ę ś ć - m o w y j e s t o p u s z c z o n a w e w s z y s t k i c h g r a m a t y k a c h j ę z y k ó w w s z y s t k i c h ?*

Czy nie byłoby to z przyczyny, iż nie nazbyt często oneż gramatyki dają d e f i n i c j ę - c z ę ś c i - m o - w y ? ...

Nic tego nie wiem... Sam zaś, o ile dane mi jest znać, głoszę, iż cała jedna m o w y - c z ę ś ć jest z dotychczasowych gramatyk wypuszczoną. I to ta, na której buduje się i osklepia frazes – a nie tylko nawet jeden frazes, lecz i następnego logiczne zagajenie, i trzeciego, i czwartego wątek etc...

Częścią tą mowy jest: p r z e m i l c z e n i e... Montesquieu nie powiada nic nieznanego, skoro mówi, iż daleko więcej od mówienia wyrazić może i wyraża nieraz m i l c z e n i e. Lecz otóż to jedno tylko gdyby jego było atrybutem i świadectwem, jużci że t o , c o o d m ó w i e n i a w i ę c e j w y r a z i ć m o ż e , musiałoby być m ó w i e n i a - c z ę ś c i ą. Pretensja zdaje się być dosyć usłużniona!...

Milczenie więc, a mówiąc w zastosowaniu praktycznym: p r z e m i l c z e n i e , jest niezawodnie częścią mowy. Prawda nazbyt duża, ażeby jej nie przeczuwali panowie gramatycy i ażeby nie podejrzewali, że jest jeszcze coś s e m i p s y c h o l o g i c z n e g o do objęcia; ale poczęli sobie oni w tym względzie najniezgrabniej i prawie zabawnie, bo uczynili c z ę ś c i ą - m o w y w y k r z y k n i k ! Zaś wykrzyknika nie tylko policzyć trudno do zasadniczych gramatyki posiadłości, z przyczyny, że on jest po-za-składniowym, bo cały się na wyrzutniach i niegramatycznościach buduje, ale i z tej, że właściwie mówiąc, tylko tam brzmi wykrzyknik, gdzie nie jest deklamacyjnie zastrzeżonym i nakreślonym, lecz gdzie się on sam z ustroju słów gwałtem wyrывa... Są wprawdzie osoby, które dwa i trzy wykrzykniki w jeden punkt kładą, ale to nic wcale rzeczy nie pomaga, ani nic w niej nie wzmacnia.

Co więcej, wykrzyknik nie tylko powodować nie zwykł następstw budowania wypowiedzeń, lecz właśnie że on je zatrząskuje i urywa. Nie można więc było niewłaściwszego zrobić wyboru.

Inaczej jest zupełnie z p r z e m i l c z e n i e m , które (według mojego twierdzenia), będąc żywotną częścią mowy, daje się naprzód w każdym zdaniu wyczytać, a potem jest logicznym następnego zdania powodem i wątkiem. Tak iż to, co d r u g i e z porządku zdanie głosi i wypowiada, było tylko co p i e r w s z e g o zdania nie wygłoszonym przemilczeniem, a to, co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte, w trzeciego... i tak aż do dna treści, która tym dopiero sposobem jest rzeczywiście wyczerpaną na mocy logiki w takowym procesie dotykalnie objawiającej się.

Panowie gramatycy zaprzatać się zwykli jakąś abstrakcyjną mową, której nie ma. Mowa, d l a t e g o ż e j e s t m o w ą , musi być nieodzownie d r a m a t y c z n ą ! I jakże byłaby inaczej mową? M o n o l o g nawet jest rozmową ze sobą albo z duchem rzeczy.

Zdania tak abstrakcyjnie blade, które by wcale nie przynosiło ze sobą p r z e m i l c z e n i a , prawie niepodobna jest wymyśleć! I gdyby się takowe złożyć udało, to musiałoby być nie należącym do ogółu żadnej żywotnej mowy.

Skoro mówisz:

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu?” –  
przemilczane w tym jest:

– Dość dawno cię nie spotkałem lub nie widziałem, ażeby tym żywiej zapytać: „Jakże mi się miewasz, przyjacielu?” A te-to przemilczenie wstępne będzie zaraz wygłosem zdania następnego, i tak dalej.

„Jakże mi się miewasz, przyjacielu? albowiem dość dawno nie widziałem ciebie, ażeby tym żywiej o to pytać.”

\*

Podobnież i w następnym zdaniu:

– Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu – przemilczane jest:

– Przedmiot każdy ma sobie odpowiedni stopień światła, pod którego wpływem najstosowniej przedstawuje się – a przeto:

„Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu” itp. ...

Czyli toż samo wybrzmi przy następnym rozwinięciu rzeczy i przy stopniowej przemianie przemilczeń na wygłosy:

– Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu, każdy albowiem ma sobie odpowiedni światła stopień, pod którego wpływem się najsluszniej przedstawuje itp. ...

Z tej to pochodzi właśnie przyczyny, co Monteskiusz za innymi powiada o wyrażeniu mocy właściwej przemilczeniu. I tę-to więc moc jużci że posiadać musi przemilczenie, skoro (jak okazaliśmy wyżej) radykalny ma związek tak z każdym pojedynczo zdaniem, jak i z całością budownictwa mowy. Czyli że, nie będąc pierwaj do tyła istotną częścią mowy, jakżeby cośkolwiek bądź uwyrznić było w możności?...

\*

Gramatyczne i logiczne nasze w tym przedmiocie poglądy, cokolwiek może skąpo, lecz stosownie do objętości niniejszego pisma, na tych-to skreślonych powyżej zamykając – przejdźmy do egzegetycznej i filozoficznej tegoż obrazu części.

Filozoficzne Pitagorasa m i l c z e n i e (a którego znaczenia dotąd nie wyjaśniła żadna egzegeza) przychodzi nam tu opowiedzieć i sprawozdać na mocy osobistych naszych poszukiwań. Niekoniecznie dlatego, ażebyśmy to m i l c z e n i e mieli za Pitagora i jego zwolenników pomysł i wynalazek, tylko z tej przyczyny, że do nas doszła wiadomość o nim przez tę drogę, bo my przez historię pitagorejczyków o tej praktyce dowiedzieliśmy się. Rzecz zaś sama ani nawet egipską, nie tylko grecką i pitagorejską, nie jest, lecz z najstarszych azjackich religijno-filozoficznych teorii i praktyk płynie, a dopiero zaczerpnął jej był Pitagor w Babilonie za czasu swej i wędrowki, i niewoli.

Lecz czy nawet dziś, przy pełnym rozbałamuceniu czytelnictwa, może znaleźć się taki lekkomyślny czytelnik, który by przed oczyma mając, że italskiej szkoły Mistrz żądał był od poczynających uczniów d w a, t r z y, p i ę ć i s i e d e m lat milczenia, nie zastanowiłby się na chwilę, iż tenże nie mógł przecież z onymi uczniami swymi jak oficer z niedawnymi jeszcze żołnierzami rosyjskimi lub pruskimi postępować, samym rozkazem nagim rządząc się, ale że musiał on zalecenie takowe, a nie najponętniejsze, jakimś usłuszeniem zadatkować.<sup>40</sup> Wypoczęta od zewnętrznych nadużyć i w normalny wprowadzona stosunek harmonia pomiędzy uchem z e w n ę t r z n y m a w e w n ę t r z n y m, pomiędzy p a t r z e n i e m o p t y c z n y m a w i d z e n i e m – niemniej d o t y k a n i e m, niemniej s m a k i e m... słowem, odbudowanie całej postawy zmysłowej człowieka, długim spokojem milczącej ciszy pozyskane, nie wiem nawet, czyli być by mogło wystarczającą zapowiedzią...

Myślę, że nie... myślę, że egzegeza tej ciemnej treści takie tylko dająca tłumaczenie byłaby przestającą łatwo na nabytkach nieco podrzędnych. Tam – to jest pomiędzy Mistrza wnioskami a przystępującego doń wolą – szło o coś pełniejszego od dyscypliny rad, o coś tak bezpośrednio żywego, iż tym samym zakłócało się część życia człowieka rozumnego i onaż umartwić. O co zaś szło tam?... podobno, iż mnie zakrytym nie jest, albowiem dość uważnie poszukiwałem tego – lecz ażeby tak niemają sprawę bezpiecznie wypowiedzieć, należy się mnie poniekąd aż do mojego osobistego przekonania filozoficznego pierw urzetelnić.

Te – jest: iż j a n i e m y ś l ę, a ż e b y w y s t a r c z y ł o c z ł o w i e k o w i, g d y b y o n w i e d z i a ł w s z y s t k o! M y ś l ę, o w s z e m, ż e c z ł o w i e k p o t r z e b o w a ł b y z a w s z e w i ę c e j...

(Jak to? w i ę c e j n i ż w s z y s t k o?!...)

– C z ł o w i e k p o t r z e b o w a ł b y (m ó w i ę) w i e d z i e ć, k a ż d e j p o r y, d o b y, i c h w i l i, o k o l i c z n o ś c i, w s z y s t k o t o, c o w t y c h r a z a c h i w z g l ę d a c h w i e d z i e ć o n, j a k o o n, p o w i n i e n, i j a k o s p o ł e c z e ń s t w a l u d z k i e g o c z ł o n e k.

To zaś wydawa mi się być w i ę c e j n i ż w s z y s t k o, albowiem toć jest wszystko, więcej znajomością i samejże niewiedzy, i jej pomiaru.

Za dostojniejszą rzecz uważając otwarty we filozofii błąd niż trującą umysły nierzetelność, wypowiadam zdanie moje prostotliwie. Zaś te podzielone (lubo i wyjaśnione przeze mnie) pojęcie było właśnie ze pojęciem onej heroicznej filozofii, o której Misteriach gdy się tu rozpoczęło mówić, wypadło nam przypadkiem nie utaić wyznania osobistego.

Obraz albowiem takowy poszukiwanej dawno mądrości może dałby się i dziś tym usłusznąć, iż jeżeli widzimy, że przy spółcześnie panującym podziale na umiejętności ten albo ów specjalny pracownik stawia się z czasem jakoby doskonałą machiną częścią lub wytwornym narzędziem, tedy dlaczegoż by tejsze samej wprawy nie nabierał i ogólną treść prawdy prakty-

---

<sup>40</sup> Głosi się wprawdzie, iż Pitagoras względem uczniów swoich używał słowa-władzy Mistrzowskiego, a co wśród kilkuset osób razem żyjących mogło mieć swoje administracyjne zastosowanie. – Lecz tego inaczej u „p r z y j a c i e l a m ą d r o ś c i” brać nie można. Mowa zaś jest o p r z y s t ę p u j ą c y c h do pitagorejskiej inicjacji, nie o spółzamieszkałych. C. N.

kujący umysł całego człowieka wedle maszyny ogólniejszej?... Myślę, owszem, iż tam nasza podzielona na specjalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak, jak c z ą s t k o w o ś ć s p e c j a l i ś c i, uwłaszczyć sobie ona biegle potrafi n i e c z ą s t k o w o ś ć...

Dostąpienie przeto, zbliżenie się albo zbliżanie do kanonu wiedzy określonego i uczytelnionego powyżej było zapowiedzią obiecalną przedsiębiorcemu milczenia p r a k t y k ę przyjacielowi-wiedzy, a którą zalecano i praktykowano dawno w pierwszych i nieledwie że najstarszych azjackich proroczych szkołach.<sup>41</sup> E z e c h i e l tegoż samego dotknął był, i tak samo w Babilonie, jak Pitagor. Co do swojej idei budowała się rzecz ta na pojęciu p a r a b o l i w najgłębszym i w najszerszym onej znaczeniu; zaś co do praktyki, szło o osobiste zestosowanie ustatkowanego swojego myślnego organizmu do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia m o n o l o g u - w i e c z n e g o, i to na takie zbliżenia lub oddalenia, do jakowych ta albo owa osobistość rzetelnie się mogła była doprowadzić... Wytłumaczmy się więcej szczegółowo:

Pochopnie, lubo nie najrozważniej, mówi się, że: „p a r a b o l a n i e d o w o d z i n i c z e g o...” Jużci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest d o w i e ś ć, ale u - o c z y w i s t n i ć – jedna zatem parabola o c z y w i s t n i, lecz wszystkie razem uważane parabole nie tylko że d o w o d z ą, ale dowodzą one tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tym!... Dowodzą one albowiem analogijnego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha...

Stąd-to i logicznie podejrzewany m o n o l o g - n i e u s t a n n i e - s i ę - p a r a b o l i z u j ą c y jużci że, jednym ze źródeł żywych prawdy będąc, udzielać się miał i mógł na takowe oddalenia albo zbliżenia, do jakich kto osobistym własnego milczenia monologiem rzetelnie się doprowadzić starał i potrafił. Dochodziliż tam m o n o l o g i ś c i - m i l c z e n i a? – jużci że dochodzili, skoro dobrze przed Pitagorasem, i nawet dużo później, niektórzy wcale do używalności mówionego słowa nie powracali, daleko więcej (stosownego czasu) wypowiadając przez lada drobny potoczny gest: przez upuszczenie lub podjęcie kamyczka z ziemi, uszczknięcie listka, dotknięcie jednym palcem rzeczy jakiej pobliskiej. Widoczna w tym, jak dalece oni życzyli byli sobie na parabolizującym się jakoby bezwzględnie duchu opierać, mimo steru pojedynczej człowieczej myśli. To tak i tu tłumaczy się i owa pozorna ciemność wyrażań, i tajemnica rzeczy, i Pitagorasowi przyznawane atrybucje fantastyczne: czy to słyszenia harmonii światów przez r y t m obrotu ich, czy to rozumienia się ze zwierzęty i pojęcia-pieśni stworzenia bezmownego...

Wybłyski te geniuszu i te cudowności mogli biografowie anty-Chrystusowi przeciwstawić, i przeciwstawiali, żywym jeszcze bardzo spomnieniom na Wschodzie osoby, czynów i wędrówek Zbawiciela-świata; lecz końcem końców, trzeba przecież je było z jakowegoś możliwego dykcjonarza wyciągnąć, które względne swoje istnienie musiał być mieć. Monologisci-milczenia mniej zapamiętali, późniejsi, i którzy przy zadaniu ducha ogólnym uprawiali zarówno wyłączne gałęzie wiedzy (a przeto może lepiej obejmowali ogół, iż zarazem i onegoż szczegół uznawali), dochodzili byli do tejsze samej furii profetyckiej, lecz jedynie we wielkich zdarzeniach wyjątkowych.

Za czasu bardzo wszechstronnej krytyki i zapewne niemałego światła (bo za czasu S o k r a t e s a), kiedy jednakowoż lud ateński znalazł się był pod wpływem jednego z tych gwałtownych zawichrzeń sensu publicznego, które z wielkim i chełpiącym się zapalem ojczyzną j a k n a j p r o s t s z ą d r o g ą d o z a t r a t y p r o w a d z ą... kiedy (historycznie mówiąc) szło o wydanie i prowadzenie zgubnej wojny na morzu i na lądzie przeciw Syrakuzie i Sycylii, a szał był tak za wojną, iż mało kto na umiarkowańsze zdania światlejszych oglądał się – człowiek umiętny i trzeźwy myślą, astronom i matematyk M e t o n

---

<sup>41</sup> Podobno dopiero za panowania Ozjasa stanowi się epoka istotnej jawności prorocत्व przez harangi zupełnie publiczne i przez pismo. Uprzednia zatem epoka nie taką samą musiała być. C. N.



(reformator greckiego kalendarza i który pierwszy o l i c z b i e - z ł o t e j pomyślił) nie zabierał głosu wśród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ujawszy pochodnię rozgorzała w ł a s n y d o m s w ó j p o d p a l i ł... Haranga żadna w najwymowniej patriotycznych ustach nie mogła być ani lepiej sytuacji politycznej Aten skreślić, ani jaśniej rezultatów zamierzonej szalenie wyprawy wojennej ludowi przedstawić!... A lubo naturalną jest rzeczą, iż natychmiast wielu uważało astronoma za w a r i a t a, tak samo jak niemało uważało było dawniej Ezechiela za o b ł ą k a n e g o, nie przeto jednak i jednego, i drugiego prorokowanie doszło jednakże do nas.

Do teje samej należy się tradycji ów, lubo niezmiernie późniejszy, prorok, który, napotkawszy jadącego do Rzymu Pawła (świętego), zdjął ze siebie pas i spętał się sam, dając przez to widzieć, jakie w Rzymie przyjęcie na Apostoła oczekuje? Szkoły teje samej można by się i dziś, lubo w bardzo grubych już kształtach, dopatrzeć, skoro by się uważnie i głęboko pomiędzy społecznymi Cyganami poszukało<sup>42</sup> – zaś podobno że w Persji estetyczne tradycje w tej mierze dochowały się jeszcze i są wyrażane przez poszukujących i l e t y l k o m o ż n a n a j m n i e j s z e j l i c z b y s ł ó w do powiedzenia jakiej treści. L a k o n i z m albowiem, i nawet m o n u m e n t a l n y rzymski styl, nie skądinąd biorą swój początek i wypromieniają się.

Egzegezy pod tym względem czynione, jakie posiadamy do dziś, są gorzej niż niegodne przedmiotu.<sup>43</sup> My tu jednakże ograniczać się powinniśmy, nie tylko na samą odpowiedniość proporcji tego szczupłego fascykułu pamiętając, lecz spominając sobie zarazem i naszego zacnego, a nawet umiejętnego przyjaciela, któremu jednakże, po wieloletnim pobycie w jednej z najgłośniejszych stolic cywilizacji, tyle zaledwo starczyło było chwil swobodnych, ile ich trzeba, ażeby choć zewnątrz gmach Biblioteki obejść i budownicze wartości jego ocenić lub podziwić. Pamiętny to, zaiste, acz maleńki wypadek! albowiem najniewinniej u-parabolizował mi był istotne publiczności społecznej obcowanie ze sferą wyrobów umysłowych, i upomniał, do ila nie-rozwlekłym być wypada... n i e - r o m a n s i ś c i e!...

Tego też dnia, a już wieczora, skoro raz w szczupłym parku zaczęło się było przechadzkę, wyprowadziła ona nas daleko poza miejsce dla Biblioteki okoliczne, i znaleźliśmy się na wyniosłości, pod której piersią szeroką przepływało lub wrzało całe ogromnego miasta życie. Imponującym bywa, bo upajającym, ów gwar szeroki, który, urabiając się ze wszech wydźwięków wszystkich działalności i energii, śpiewa sam sobie nieustannie: „T a k i c h - t o, j a k j a, p i ę ć, s z e ś ć n a ś w i e c i e d z i ś... t o – c a ł a c y w i l i z a c j a j e g o, i w a r t o ś ć, i s i ł a!”

Jest-ci podobno tak, zaiste, że kilka ogromnych i nieustannych gwarów kilku stolic stanowią o żywotności historycznej i moralnej naszego świata; lecz gdyby się na te huczące morza działalności i energii rzuciło naraz z góry onymi wielkimi liniami, których i zarysem i proporcją zwykł był Ajschylos postaci dwie urabiać z narodów i kroców, jakież by tu z tego, na przykład, szerokiego tłumu i gwaru zgarnęły się kształty umysłowe? I tak sprawiedliwie otrzymane, jako je Ajschylos otrzymywał, to jest, ażeby postać, milionem będąc, milionów wypowiadała ściśle, nic poza sobą nie roniąc, lub może tyle zaledwo, ile na upostaciowanie odpowiedniego chóru jej potrzeba...

Spróbujmy!...

---

<sup>42</sup> Cyganie bardzo się kryją z ich rzeczywiście starożytnymi tradycjami, a te w z-rubaszniowych wielce formach i szczupło u nich znajdują się; lecz gdy z jednej wsi byli gwałtownie wyganiani i gdy ogniska zalano im, stara Cyganka powróciła, wzięła zimny jeden węgielek i schowała go w swoje napierśne odzienie. Kmieć sędziwy to widząc, rzekł: „Trzeba niezbyt twardo ludzi tych wydaląć, bo mogą być p o z a r y w okolicy...” C. N.

<sup>43</sup> W autografie brak odpowiedniej noty autorskiej. (Przyp. edyt.)

Jużci ten ogromny gwar i tłum zgarnąłby się naprzód w umysłową postać jedną, która nic innego, nic wtórnego, nic godnego względu nie zna, nie dopuszcza i nie poczuwa oprócz swojego własnego i swojej pasji i interesu. Kryć tego ani można, ani godzi się – tak jest.

Postać ta znamienita ogarnęłaby i wyraziła większość masy wznoszącej i żywiącej ów kolosalny gwar stołeczny. Postać umysłowa, która, pod jakimkolwiek tonem i formą porusza swe płuca i wargi, nic oprócz interesu swojej pasji nie wygłasza, nie uwzględnia i nie dopuszcza.

Czy ten głos jest harangą parlamentarną, czy filozoficzną apostrofą, czy niewinną roman-su formę przybierze, wsłuchaj się weń głębiej i spokojniej, a nie napotkasz nic innego, oprócz monologu pasji swojej i swego tylko interesu. O ile tym dwom odbrzmieć może w czymś-kolwiek ktoś inny, czyja inna sprawa lub interes, albo myśl, o tyle onymi zajmie się jeszcze ów osobisty monolog, ale zajmie tylko o tyle, ile przeto, we wszystkości rzecz swą jedynie ważąc, n i e w y c h o d z i o n n i g d y z e s w e g o p u n k t u - w y j ś c i a ! ...

A nie wychodząc nigdy ze swego p u n k t u - w y j ś c i a, jużci że jest zawsze na miejscu. Tak, iż zwidzeniem tylko optycznym powinien by być ruch tej postaci... A nie obejmując z całej wszystkości nic, prócz tego tylko, co do niej się odnieść może, jużci że n i c taka dążność umysłowa nie świadczy i nie wypowiada dla prawdy bezwzględnej – ona ani jednego słowa nie dodawa do wielkiego bez-interesu wiedzy i uczucia, tak iż złudzeniem akustycznym powinien by być we większej swej połowie kolosalny ów gwar stołeczny, z którego całokształt j e d e n właśnie podjąwszy, rozejrzeliśmy umysłowy jego charakter.

D r u g i m zaś kształtem z połowy drugiej tłumy i gwaru stołecznego, ogarniętym w nie mniej kolosalną postać, byłby znowu umysł poszukujący jedynie, ażeby być upodobanym względem mody czasu swojego i ażeby podobać się... Ten, nim otwiera usta, już odczytał pierw twe mniemania i dopowiada tylko do nich zdania swoje, poczucia swe do cudzych układu, myśli swoje z domyślonymi w drugich myślami wiąże – a jeżeli pierwszy nigdy swojego p u n k t u w y j ś c i a nie opuszcza, to ten drugi nigdy go wcale nie miał. Pierwszy jest rozwijającym się nieustannie p e r s o n a l i z m e m – drugi bezświadomą albo przemysłową a s y m i l a c j ą.

I oto są dwie postawy wielkie, cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, wyrażające. Zaiste, nie nazbyt wysoko potrzeba się wznieść, ażeby, nie usłyszawszy tam ani jednego słowa dla prawdy bez-względnej i dla bez-interesu uczucia podniesionego i wygłoszonego, pomyśleć słusznie: jakże wielkim jest albo bywa m i l c z e n i e m ten, lubo taki ogromny, gwar i zamęt?!...

## Trzecia część

### III

Gdyby literatury ludów nie były żadnymi ogółami myślnymi, intuitywnie zadatkowanymi, lecz żeby się one przez stopniowany dorobek zyskiwało w miarę wzrostu i wydojrzwiania człowieczeństwa, tedy dzieła pierwsze musiałyby być pokarmem dzieciennym, i dopiero o wiele późniejsze męskim. Tedy głębokie hymny, tedy moralne poważne zdania w rym ujmowane nie byłyby na początku literatur, ani sama nawet potężna epopei istota tak wcześniej rozdziłaby się.

Tymczasem nawet n a j r o z s ą d n i e j s z y z mędrców starożytnych Kung-fu-tseu (Confucius) właśnie ze swoją, a prawie już ministerialną prozę czerpie z hymnów i pieśni początkowych, i właśnie ze z epoki onej, w której winien by był człowiek zajmować się bawidłami dzieciennymi.

Rubaszniej wyrażając się (bo spólcześni chcą tej jasności stylu, która jest r u b a s z n o ś c i ą), można by rzec, iż powinny być na początku literatur k s i ą ż k i d l a d z i e c i, gdy tymczasem jest przeciwnie: utwory albowiem nacechowane solennością i uczuciem wielkości są otwierającymi rzecz umysłową.

Mają one, lub miewają, coś naiwnego, lecz nie początkującego dzieciennie, tylko jakoby coś dziedziczącego z charakterem synostwa-boskiego.

N i e o b e c n o ś ć - p r o z y jest pierwszym wielkim pojawem na początku wszystkich literatur. Człowiek od pierwszego na świat kroku wchodzi jak zupełna postać umysłowa: j e s t p o e t ą. I innego my umysłowego człowieka nie znamy udowodnić na początku dziejów, jedno poetę!

Trzymając się przekonania, że wielkie charakterystyczne zarysy i linie, skoro są ze znajomością rzeczy i sumiennością kreślone, daleko są i trudniejszymi, i więcej kosztującymi pracy i czasu, i korzystniejszymi dla czytelnika niż drobiazgową jaką egzegeza bardzo wątpliwych, nigdy niewystarczających, a ciągle zbytecznych fragmentów – zamiast co zaprzęta-libyśmy się, czy rzeczywiście Orfeja dziełami są ułamki, które może L i n u s, M u z a j o s, E u m o l p o s albo A m f i o n był utworzył?... właściwiej godzi się nam światło rzucić na niejasną sprawę chronologii względem żywiołów. My np. mówimy: H e z j o d i H o m e r, ale żywioł, który przedstawuje i urabia H e z j o d, jest o bardzo i bardzo wiele od żywiołu, którym tchnie H o m e r, starszym, tak iż obok siebie dwóch tych poetów stawiając, jednego po drugim trza pojmować. Jakkolwiek bądź, psalmistowski Hezjoda żywioł poetycki może jeszcze nie tylko bardzo późnego (porównawczo) P i n d a r a dać, ale nawet aż w i e l k ą o b r z ę d o w ą p i e ś Ń H o r a c e g o!

Żywioł że parę epok przetrwać podola, usunawszy się z pierworządności i stosownie sobie temperamenta ras jakich objawszy, pogodzić jest trudno następstw[a] żywiołów z chronologicznymi warunkami i względami. Nie półmityczny O r f e j, A m f i o n etc..., nie sam teologijny Hezjod, ale T a l e s - G o r t y Ń s k i (nie filozof Tales z Miletu) powinien by oną poetycką epokę pierwszej umysłowej człowieka działalności w Europie przedstawować. T a l e s z G o r t y Ń u albowiem był jeszcze zarówno: m u z y k i e m, p r a w o d a w c ą i lirycznym p o e t ą!... I A m f i o n, i O r f e j w tychże pojednaniu atrybutów czerpali natchnienie, lecz drugiemu męczeńska śmierć przerwała była wcześniej rozwój zadania. Orfej jest rozszarpanym dlatego, iż światu północnemu przyniósł ewangelię i n d y w i d u a l n e j m i ł o ś c i k o b i e t y, czyli promień myśli i życia bardzo późno przez ludzi zapoznawany, jeżeli nawet u daleko czytelniejszych S e m i t ó w dopiero *Pieśń nad pieśniami* (Salomono-

wą zwaną) ewangelię tę podejma. Pierwej żeni się bardzo stosownie przez zaufanego posłańca lub wiernego sługę, albowiem idzie nie o więcej, jedno aby osoba miała tę gładkość, którą powoduje zdrowie, tudzież aby z zacnego była rodu, z cnotą dziewiczą i z wyglądaną bardzo płodnością macierzyńską. Rzeczy te doświadczony a serdecznie życzliwy służący gdy mógł sam ocenić, nic nie pozostawało do życzenia.

Takowego wszakże pojęcia o małżeństwie ostatecznością krańcową musiało być i bywało przynajmniej raz-do-rocznie pomieszanie wszystkich małżeńskich atrybucji w czasie nocnego obrzędu rozpustnego. Indywidualna albowiem kobiety miłość nieznaną i nie uznawaną będąc, pozostawała tylko przyrodzona płciowa ogólność. Ten to prąd pojęcia i energii rozszarpał Orfeja...

Powracamy do wzwyż powiedzianego określenia, iż pierwotny umysłowy człowiek jest p o e t ą. Żal nam wielki, że ciemne i mało rozwikłane są wiadomości o trwaniu żywiołów, ich sukcesjach i procesjach i o warunkach chronologii względem tak różnostałych zjawisk. Życzylibyśmy sobie albowiem to samo, co okazaliśmy i wyłożyliśmy w części gramatycznej, przeprowadzić jednym i równym krokiem w niniejszą część historycznie-literacką, okazując dowodnie, że tak samo, jak we składniowym budowaniu się zdań: pierwsze zdanie osadza się na p r z e m i l c z e n i u, które następnego logicznie zdania stawa się w y g ł o s e m, a przynosi ze sobą drugie przemilczenie dla następczenia wygłosu trzeciemu zdaniu i tak dalej... tak samo (mówię) i we wielkich umysłowych wyrobach wieków i epok to, co było p r z e m i l c z e n i e m całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawa się wygłosem literatury epoki drugiej, następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi jeszcze następny, swoje znowu dla trzeciego p r z e m i l c z e n i e ze sobą wnosząc.

Prawo przeto maleńkie, które odkryliśmy i podawamy, jest zasługującym na uwagę, albowiem okazuje się być całym i na rozmaitych polach zarówno żywym. Onego pierwowysłowego- c z ł o w i e k a - p o e t y dziełami pierwszymi są d u m a n i a, są i n w o k a c j e – ten wyraz „M u z o!” jest tylko ostatnią kartką wielkiego-psalterza, a która się dochowała przez swoje ze wstępem do dzieł drugiej epoki zjednoczenie. I n w o k a c j e takowe, Boskiego wyglądające sprawowania, brały udział we wszelkiej działalności i psalterz one nie miały stanowiły... Niczego albowiem bezpośrednio działalność człowieka nie poczynała była – –

Zeus zawsze i zewsząd najpierwszym jest,  
I ostatnim, i środkującym – on z płomiennym  
Piorunem powstał i zeń jest wszystko:  
Podstawą on ziemi, on nieba jasnego osią,  
On Monarchą zupełnym, bo Niszczycielem i Stwórcą!  
(W e d ł u g t r a d y c y j o r f e i c k i c h)

W powyższej I n w o k a c j i – i o ile ona całą jedną epokę dumań wyraża – zapytujemy przeto (według naszego p r a w a), co stanowi p r z e m i l c z e n i e? co, tam nie wypowiedzianym będąc, ma przez to samo dać epoce następnej w y g ł o s i postawę?...

Jużci widoczna jest, że w Inwokacji powyższej – i o ile ona wyraża całą jedną epokę – p r z e m i l c z a n y m j e s t c z ł o w i e k, albowiem Zeus ze wszech miar i względów wyręczył wszystko. Człowiek, praca jego, walki, cierpienia i doświadczenie, i rozwinięta w nim siła Zaradczości, to wszystko, będąc przemilczanym, daje dla następnej epoki wyrobu umysłowego zgotowane miejsce na E p o p e j ę...

Dlatego też ostatnia Inwokacja z epoki i n w o k a c y j n y c h - p s a l m ó w, lecz p i e r w s z a z e p o k i n a s t ę p n e j, brzmieć będzie:

„C z ł o w i e k a (teraz), o! Muzo, wypowiedz, którego zmysł musiał się ubogacić, gdy po zburzeniu świętego miasta Troi błędząc, poznawał on ludzi, obyczaje i narody – Człowie-

ka, który cierpiał w sercu swoim... i narażał się na morzu, i nie dla siebie tylko, lecz ażeby i towarzystwo ocalić. A pociechy nawet i tej ze zbawienia bliskich nie miał, gdyż dla głupoty własnej poginęli!...” – –

---

Po legendowej, po cudownej pierwszej i niewokacyjnej epoce, widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza Epopeja przez same przemilczenie – lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej (zawsze według naszego małego prawa) przemiełca? i co zatem przemilczenie owe, w łonie epopei niesione, dać ma jako zasadniczy wygłos trzeciej Epopei? Słowem jednym: co ta trzecia epoka będzie?

Jużci że bohaterowie Epopei swoimi olimpijskimi kroki przekraczają właściwą prozę historyczną, interesa państw i narodów, tudzież warunki polityczne i finansowe etc... a która to istotnie proza historyczna jest tym przemilczeniem, na jakim się piękna i bujna postać Epopei właśnie że dlatego wznosi, iż do onej poziomej treści historycznej nie zniża się. Epopeja zatem koniecznie przemilcza istotną historyczną prozę, a zatem (stosownie do naszego prawa) po epoce Epopei, czyli skoro ta już się zbierze w całość i utwierdzi piśmem, i nieco książką zacznie być, następuje przemilczane w Epopei-łonie dzieło Historii.

LEGENDA (cudowna), EPOPEJA, HISTORIA – – oto, co już widzimy z rozwoju myśli człowieczej i z następstwa przepowiedzianego epok.

Historia wszelako, mimo zstępującego na szeroki poziom żywiołu swojego, czyliż i ona miałyby się jeszcze na przemielczeniuzasadniać i takowe na wygłos dla następnej epoki przynosić? Jużci że tak, i to nawet dosadniej niżli gdzie indziej, bo bywały nawet umyślne zatajemnienia intryg, które we sto lat dopiero później uczytelniały się!... Historia przemilcza to, na co wystarczającego wyrazu jednego znaleźć trudno, ale co ze stosowanymi komentarzami nazwać godzi się... Anegdota.

Tam są tajemnice psychologii dziejów, biografii, niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historii i ona je przemilcza, ale one na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą Anegdotą zowiemy, jest Rewolucja!... I oto, jeżeli nasza prawda-milczenia nie jest błędem, tedy umysłowego tok rozwoju dawa następujące periody:

Legendę – Epopeję – Historię – Anegdotę... Rewolucję. Tego ostatniego wyrazu nie należy tu brać z żadną wyłączością. Tym bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.

Anegdota dziś wydaje romans i powieść, i cały ten rodzaj pobieżnej literatury, której żywiołu właściwa historia nie obejma. Za Augustów Cesarskich anegdotą były czerzy - Ewangelie, czyli najpierwsza, jedyna i arcydziełna książka popularna!

(Niechaj się nikt nie gorszy, iż spominamy tu Ewangelię, jako książkę, bo godzi się uważać, iż gdyby Ewangelię należało brać jak Koran, tedy byłaby jak Koran jedną... i właśnie przez to błędną, że jedną... Zaś jest Ewangelij najmniej czerzy, z powodu, iż każdy Ewangelista życzył sobie całej i lepiej to, co mu znanym było, wypowiedzieć, a przeto świadectwo i kontrola miały tam miejsce jak względem książki wszelakiej.)

Nieumiejętnie także przeciwstawiono założeniom naszym o milczeniu całą jedną literaturę w jednej książce, to jest Biblię. Należy pamiętać, iż period Mojżesza nie jest wcale początkiem dziejów hebrajskiego narodu, lecz owszem, że Mojżesz jest już odrodzeniem – reformą – rewolucją. Cały z anegdoty i biografii wyrósł i jest wielkim, boskim powstańcem. Przed-Mojżeszowy i aż do-Mojżeszowy zatem period obejma wszystkie te cudowne, heroiczne i historyczne żywioły, które w postępowym rozwoju zaznaczyliśmy. Gdy, od Mojżesza znów spojrzawszy, widzimy wcale nie inaczej rozwijające się myśli,

uczucia i sprawy. Oto najprzód *cu d o w n a - l e g e n d a* misji Mojżeszowej i świętych dumń jego – dalej, ludowa *E p o p e j a* za *Sędziów* – *H i s t o r i a* z *Królami*, a z *Eklezjastą* *A n e g d o t a*; i nasza wielka chrześcijańska *R e w o l u c j a*, która, dla wyjątkowego czasu owego i dopełnień się, jest *R e w e l a c j a*!

Z administracyjną jakkolwiek wyraznością nie można ze wszech miar linii kreślić na mocy naszego *p u n k t u - w y j ś c i a*, jednakowoż oko jasne tymi samymi pozna być periodami pojawiska w literaturach wszystkich spotykane. *R z y m i a n* powszechnie krzywdzą, narzucając im pięć wieków literackiego niemowlęstwa, a nawet i kiedy prawo *d w u n a s t u - t a b l i c* jako najstarszą rzecz cytują. Tak się wcale nie godzi, tylko my niezupełnie jasno wiemy, jakie było umysłowe życie pod bliższym wpływem tych sybilińskich ksiąg, które zbyt łatwo opuszczamy ze względu. Co więcej, że i prawo *d w u n a s t u - t a b l i c* nie jest bez pośrednictwa *d e c e m w i r ó w* upowszechnione. *V i r g i l i u s* jest niezmiernie oględny i sumienny w tym wszystkim, co sakramentalnego z obyczajów starych podnosi, otóż te uwyraźnienie, jakie on dla wierszy sybilińskich dodaje, że *u m y ś l n i e* był *ł y r z e c z y n i e p i s a n e*, lecz przez oralne staranie wybranych mężów w życiu utrzymywane, a by tym wierniej przechowywały się *i u d z i e l a ł y*, daje zaiste do myślenia, iż cała ta epoka, za literacko głuchą i jałową uważana, niekoniecznie takową mogła być.

Spółcześni literaci ze zbyt wielką łatwością uważają *n i e o b e c n o ś ć a t r a m e n t u* za *n i e o b e c n o ś ć w s z e l k i e g o u m y ś l o w e g o r o z w i n i ę c i a*... Epoka uprzednia względem tryumfalnej epoki literatury rzymskiej, a uważanej za po prostu przejętą od Greków, nie była wcale taka jałowa, pusta i głucha. Myślę, owszem, iż dlatego tak szybko doszło się do stopnia arcydzielnego we większości kart *Eneidy*, iż to wszystko pierw było w *k r o n i k a r s k i c h r a p s o d a c h*, a dlatego wszystkość *Georgik* jest tak niezrównanym arcydziełem, iż uprzedziły je niemałe *o r o l n i c t w i e* zapiski i dzieła! Podobnie jest z każdym innym żywiołem, albowiem okres, jakkolwiek nierozgłośny, ale który może mieć *s y b i l i Ń s k i e - r z e c z y* i kolegium do onych przechowania, tudzież *D w a n a ś c i e - t a b l i c* i kolegium je strzegące, a nade wszystko zupełnie nowy i twórczo sobie udziałany typ w tak zwanych „*S o t u r a c h*” (późniejszych *S a t y r a c h*), okres, mówię, taki nie tyle zapewne jest bez-literackim, ile my bywamy bez-rozważni, skoro lekko o nim mówimy. Nadto *S o t u r y*, czyli *S a t y r y*, wchodzi według zarysu naszego w epokę *A n e g d o t y*, czyli w zaranie *r e w o l u c y j n e g o* obrotu całej umysłowej karty.

Gdyby perturbacje w tej naszej smętnej historii nie były tak częste i szerokie, tudzież gdyby żywioły etnologiczne nie przeżywały nieraz epok i przeto nie nadwierały porządku chronologicznego (a o czym się już wyżej nadmieniało), tedy z naszym zarysem żywotnych *praw m i l c z e n i a* (w mowie ludzkiej i w dziejach) można by wszystkie wieki, jeden po drugim, obejrzeć, jak one myśli swoje podawały sobie w przemilczaniu głębokim.

I nie tylko *w i e k i*!... bo biegły ascetycznie umysł może *t y g o d n i e i d n i e* życia umiałby zobaczyć, jak zasuwiają się w siebie i z siebie podawają na tymże samym prawie *-p r z e m i l c z e n i a*...

Na cóż zaś uchylam nieco tej zasłony?... Oto na to, iż w nasze umysłowe-sprawy jeszcze z samymże drukiem weszło wiele spółdziałań i przyspieszeń mechanicznych, chemicznych, elektrycznych... musi przeto *s z t u k a - c z y t a n i a*, jeżeli nie prześcignąć, to wyrównać szybkościom i promiennościom gromu, i na samym zwierciadlanym lubowaniu się drukiem nie poprzestać! Literatury także podobno będą musiały nie tylko się zaimać ślicznością i obfitością jakiego bujnego swego kwiatu, lecz i uważaniem całych siebie, jako żywotną funkcję pełniących i obowiązanych; to dlatego uchyla się nieco zasłony tej...

## **Spis rzeczy**

*Patos i milczenie*

Menego (Wyjątek z pamiętnika)

Czarne kwiaty

Białe kwiaty

Milczenie

*Spis rzeczy*